



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Błędne koła II, p. A. S. — Henryk Tomasz Buckle, I. — Ona, powieść Wł. Okońskiego. (dokończenie). — Tajemnice duszy p. Feliksa Bogackiego (dalszy ciąg). — Bolesław Chrobry pod piórem Dytmara p. A. G. Bema (dalszy ciąg). — Leopolitana przez Juniusa. — Stiller Bankerott II, p. Jana Finkelhausa — Urwany Akord (wiersz). — Piśmiennictwo Polskie: Włoszanie u nas i gdzieindziej p. Wł. Smoleńskiego. — Liberum Veto. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Od redakcyi. — Ogłoszenia.

### BŁĘDNE KOŁA.

#### II.

Miedzy położeniem Galicyi a Poznańskiego zachodzi niewątpliwie olbrzymia różnica, wynikająca bądź z ustroju dwu mocarstw, w których skład prowincye te wchodzi, bądź ze stosunku liczebnego żywiołów politycznych, bądź wreszcie z ich siły. Podczas gdy Prusy dążą do zgładzenia wszelkich odrębności i przygniatają polaków całym ciężarem germanizmu, różnoplemienna Austria pozwala swym częściom rozwijać się do pewnego stopnia samodzielnie i nie wywiera na każdą z nich siłą innych niszczącego nacisku. W Prusach organizacja państwa, ześrodkowywująca wszystkie jego ruchy w jednym ognisku i gwałtownie ujednastajniająca naturę jego pierwiastków, druzgocze, rozgryza i przetrawia wszystkie pierwiastki innorodne, przerabiając je na teutońską papkę, którą się żywi ich nienasycony żołądek; w Austrii znowu najróżnorodniejsze ludy istnieją obok siebie, i żaden z nich nie ma tyle mocy, ażeby zdołał pochłonąć inne. Tam kilka milionów jednej narodowości musi toczyć rozpaczliwą walkę z kilkudziesięcioma drugiej; tu znowu każda grupa rozprawia się z równą jej tą lub ową, ale nigdy ze wszystkimi razem, a przynajmniej nieskojarzonymi zupełną wspólnością środków i celów. Tam nowy, silny, o potężnych trybach i kołach młyn, który wszystko ściera na jedną mąkę; tu stary, rozluźniony w swym mechanizmie klekot, którego kamienie mogą co najwyżej obłuskiwać przelatujące między nimi ziarna.

Mimo tej jednak przepaści różnicy, Galicya również kręci się w błędnem kole, przedstawiającem wiele podobieństwa z warunkami życia poznańczyków. I ona także

broni swej narodowości przed germanizmem, i ona walczy za prawa swojskiego języka, i ona rozpala namiętności religijne, i ona wreszcie zawiązuje przymierza ze stronnictwami, przeciwstawiającemi się biegowi cywilizacyi. Odpowiednio do mniejszego natężenia ucisku i odpór jej jest naturalnie mniejszym. Galicya nie potrzebuje upominać się o mowę polską w szkołach i sądach, o instytucye samorządne, o uniwersytety, bo wszystko to posiada; pozostają jej tylko rozmaite dopełnienia autonomii i nieusunięte resztki dawnego systemu prześladowczego, a nadto odparowywanie zamachów rzeszy centralistycznej, która, usunięta od wszechwładnej gospodarki, usiłuje odzyskać wydarty ster i skierować nawę państwa do bismarkowskiego portu. Chociaż stronnictwo to nie jest, jak w Prusach, olbrzymiem boa, w którego otwartą gardziel wpadają drobne wiewiórki, umie ono przecież swem jadowitem żądlem zadawać tak szkodliwe rany, że nieustanna baczność na jego pełzanie i skręty staje się warunkiem bezpieczeństwa Galicyi. Szczególną fatalnością losu i tu, jak w Poznańskim, podał polakom przyjacielską rękę żywioł najwsteczniejszy, tak zwane *stronnictwo prawa*. Spotykając po raz drugi ten stosunek, musimy się nad nim nieco zastanowić. Odbieglibyśmy daleko od prawdy, gdybyśmy za przykładem apostołów naszego lub wreszcie europejskiego klerykalizmu w jego istocie i zasadach upatrzyli bezwzględnej sprawiedliwości i wynikające z niej popieranie interesów polskich. Bynajmniej. Wyrażając się językiem geologicznym — formacya klerykalno-arystokratyczna w całym świecie ustępuje miejsca wolnomyślno-demokratycznej, dla wzmocnienia więc swych sił przyczepia się mechanicznie do wszystkich narodów i społecznych grup prześladowanych. Trudno bez grubego złudzenia przypuścić, ażeby *stronnictwo środka*

w Niemczech lub *stronnictwo prawa* w Austrii, ażeby te grupy, w rdzeniu swojem czysto germańskie, przez zachość lub miłość osłaniały swemi skrzydłami arkę narodowości polskiej. Nie dławia jej, bo muszą strzedz własnego życia, bo również ulegają w niszczącej walce o byt, bo za tę wstrzemięźliwość i łaskę sprzymierzeńcy wypłacają im się nieraz skuteczną usługą. Dziś, gdy katolicyzm (w znaczeniu polityczno-społecznym) jest prawie wszędzie żywiołem albo zwyciężonym, albo uwikłanym w niebezpieczną walkę, węzły swojej sympatyi dla nas zacieśnił bardziej niż kiedykolwiek. Wypędzeni z Francyi mnisi, prześladowani w Prusach księża, napastowani w Austrii feodaliowie — są najżarliwszymi na obczyźnie przyjaciółmi polaków, z którymi ich łączy tylko wspólność wiary. Sądźmy wszakże po ludzku. Gdybyśmy uczucia zbadali u źródła, może każde straciłoby swą idealną nazwę. Więc i w tym wypadku, niezależnie od pobudek, pod których natchnieniem klerykalizm obdarza naszych rodaków czułymi uściskami, przyznać trzeba, że on wspierał ich i wspiera istotną pomocą. Kij, chociaż jest tylko kijem, może napadniętemu uratować życie, a gdyby nawet osieł podał tońacemu swój ogon, zasłużyłby sobie na jego wdzięczność.

Uznając wszakże praktyczną użyteczność związku galicyan z austriackimi feodalami, musimy jednocześnie zaznaczyć ujemny jego wynik. Mianowicie, przymierze to wciąga polaków w ruch cywilizacyjny wsteczny. Koło polskie w Wiedniu dla zyskania usług stronnictwa feodalno-klerykalnego w sprawach samorządu — musi stawać pod jego chorągwią w innych, cofających lub tamujących nietylko rozwój państwa, ale nawet własnego społeczeństwa. I Galicya zatem pozornie stoi na rozdrożu między wynaradawiającym postępem i dziejącą narodowością. Obie



drogi niebezpieczne, gdyż na końcu każdej zdaje się grozić narodowi śmierć niechybna. Mówimy: pozornie — zdaje się... To bowiem nieszczęsne rozdroże, które tak złowrogo zarysowało się w Poznańskim i które zniknąć może tylko pod siłą niebieskiego ale ziemskiego cudu, w Galicyi jest raczej wytworem ciasnej polityki niż rzeczywistą koleją życia. Zarysowane wyżej, daleko pomysłniejsze warunki istnienia Polaków w Austrii pozwalają im na bardzo śmiały postęp bez obawy utracenia w tym ruchu znamion narodowych. Nie zapominajmy, że Galicya posiada ułomną, nieco, ale w każdym razie autonomię, polskie szkoły, dwa uniwersytety, krajowe sądy — słowem najrozmaitsze organa, ubezpieczające ją od germanizacji. Czy przy takich środkach potrzeba stać nieruchomie i można podążać naprzód? Owszem, zdawałoby się nawet, że, jeśli gdzie plemię polskie rozrósł się i zakwitnąć powinno, to tylko pod panowaniem austriackim. A jednakże widzimy obraz wprost przeciwny. Z trzech części dawnej Polski Galicya pod każdym niemal względem upadła najniżej. Na kartach jej współczesnych dziejów albo nie zapisuje się nic żywotnego, albo takie wypadki, nad którymi Jeremiasz polski rozplakać się musi serdecznym żalem. Gdy na galicyjskim niebie zajaśniała jutrznia szczęśliwszej doli, miliony zażawionych oczu zwróciły się do niej z tęsknotą i nadzieją, że tam narodzi się zbawienie czy odkupienie nieszczęśliwego czy grzesznego narodu. Niestety, znaleziono stajenkę, znaleziono żłobek i jego świadków, ale nie znaleziono messyasza...

Tak więc błędne koło Galicyi przedstawia zupełnie inną postać, niż w Poznańskim. Tam jest ono koniecznym wirem, tu dobrowolnym tańcem. Potrzebę wyjścia z niego uczuli na chwilę tak zwani secesyoniści polscy w Wiedniu, którzy chcieli przeprowadzić naród naszerszą drogę postępu. Zbrakło im wszakże energii a może nawet planu. Bengalski ogień, puszczony przez Hausnerów i Wolskich,

zgasł szybko, pozostawiając po sobie tylko nieco swędu niesnasek domowych. Cokolwiek pisze się o świeżo pogrzebanych lub świeżo zamianowanych przewodnikach życia Galicyi, nie ulega wątpliwości, że dotąd nie narodził a co najmniej nie objawił się w niej żaden większy talent polityczny. Widzimy bogatych magnatów, zręcznych karyerowiczów, złotoustych mówców, ale nie widzimy poważnych mężów stanu, ludzi, którzyby umieli wywabić lub wytrącić naród z błędnego koła, zakreślonego mizernym promieniem polityki stańczykowskiej. Półśłówkowe wzmianki upewniają nas, że wśród zużytych rupieci dawnego systematu wychowuje się nowy, silniejszy, dalej widzący żywioł, który obiecuje przywrócić zezadzonemu narodowi zdrowie i siły. Bodajby ta wróżba spełniła się w jak największej mierze. Inaczej wyjałowiony bądź obcem zniszczeniem, bądź własną nieuprawą grunt galicyjski stanie się smutnym nieużytkiem, wydumą polskiej ziemi.

Losy naszego plemienia przedstawiają w wielu względach dziwny widok w swym obecnym okresie — dziwną zagadkę, która zdaje się przeczyć prawom historii. Gdy bowiem teoretycznie należałoby przypuszczać, że naród rozwijać się będzie w stosunku prostym do niezależności politycznej, dzieje nasze wykazują stosunek odwrotny. Najszybsza z tej strony Galicya przedstawia najsmutniejszy obraz. Jestże to w historii objawiające się prawo gazów, które tem większej nabierają sprężystości i siły, im bardziej są ściśnione? Nie. Szukajmy innych przyczyn, zamiast składać pokłony cieniom Machiavella...

## HENRYK TOMASZ BUCKLE.

### I.

Dwadzieścia i kilka lat upłynęło od chwili narodzin *Historyi Cywilizacji Anglii*, zanim ojczyzna wielkiego myśliciela zdobyła się na

godny zyciorysowy dlań pomnik. Powiedzmy szczerze — nie było to zadanie łatwe nawet dla tak potężnych sił umysłowych, jakimi rozporządza piśmiennictwo angielskie. Podjął je nareszcie Alfred Henryk Huth w niedawno wydanej, dwutomowej pracy: *The Life and writings of Henry Thomas Buckle*, która ogarnęła całą działalność i życie genialnego badacza. Przez wzgląd na jego naukowe znaczenie i na głęboki wpływ, jaki wywarł na nasze przekonania, odtworzymy czytelnikom naszym postać Buckla z rysów, zgromadzonych w tej książce.

Henryk Tomasz Buckle urodził się 24 listopada 1821 r. w Lee pod Londynem. Był on jedynakiem (miał dwie siostry) światłego londyńskiego kupca. Wątlęgo zdrowia, odznaczał się jednak wesołem i żywem usposobieniem, chociaż nie brał nigdy udziału w zwykłych zabawach młodocianych. Jeszcze dzieckiem będąc, czytywał z zapalem: *Tysiąc i jedną noc*, *Don Kichota*, a przedewszystkiem dzieła Szekspira. Piękne te pomniki literatury stanowiły do 18 roku życia nieledwie wyłączny pokarm duchowy młodego Buckla. Dodać należy, że porządnie sylabizować nauczył się dopiero mając lat ośm. Domowy lekarz nie radził obciążać jego umysłu. Najbardziej nęciła go nauka algebry i geometrii. Gdy w 14 roku otrzymał pierwszą nagrodę, ojciec zapytał go, czego sobie za to życzy? „Opuścić szkołę“ — odrzekł chłopiec. Ojciec zgodził się. Matka chcąc oderwać go od książki, uczyła go robót na drutach. Buckle przekładał towarzystwo starszych nad zabawę dziecinne, przyczem najchętniej zabierał głos w sprawach religijnych i politycznych. Często rozprawiał z ojcem, który ukończył uniwersytet i od którego przejął zasady torysowskie. Znowu oddano go do szkoły, gdzie ciągle był pierwszym uczniem, chociaż na pozór lekeży nie odrabiał. Porzuciwszy powtórnie szkołę zaczął skwapliwie czytać gazety i rozmyślać nad teorią wolnego handlu. Pewnego dnia tak dalece zapalił się w tej sprawie,

## Z KRONIKI MŁODOŚCI.

O N A

### IV.

Mimo silnego postanowienia i zaostrożnej ciekawości, zawahałem się w ostatniej chwili: czy pójść na wieczór do pułkownikowej i poznać tę, która prawdopodobnie była jej „piękną siostrzenicą“, czy też uniknąć pokuszenia. Odciągały mnie dwa bardzo ważne względy: z jednej strony obawiałem się, ażeby nieostrożnem słowem nie ugodzić później Bukowskiego i nie przeciąć mojego z nim stosunku, z drugiej — ażeby ona nie wydała mi się istotą niegodną jego uniesień. Jeżeli ją poznam, zdolałabym powstrzymać się od uchylecia rąbka zasłony? od rozjaśnienia jego wątpliwnym promieniem radosnej nowiny lub rozdarcia jego marzeń mieczem nielitościwej prawdy? Gdy rozum się waha, ciekawość podsuwa mu zawsze jakiś wybieg do obejścia skrupułów. I ja więc powoli wytłumaczyłem sobie, że obawy moje są płonne

a nawet śmieszne: bo i jakąż miałem pewnością, że to ona właśnie jest siostrzenicą pułkownikowej i że ją u niej spotkam? Uspokojony tem przekonaniem, ubrałem się spieszenie i wyszedłem.

Na wszelkie zabawy do Rubowiczowej towarzystwo zbierało się bardzo wcześnie. Spóźniających się gospodyni witała mniej lub więcej ostrym docinkiem. Była już godzina dziesiąta, gdy po długim namyśle przybyłem wreszcie na ulicę Królewską, gdzie Rubowiczowa zajmowała bardzo wytworne mieszkanie.

— Pan przyszedł świecę gasić, bo my już po nabożeństwie — rzekła z właściwą sobie rubaszością, z której przebijała się jednak uprzejmość.

— Zdaje mi się, że dopiero kazanie, szanowna pani — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Należy się ono panu — ha?

— Naturalnie.

— Zajac w occie — jaki kruchy! No, ja nie mszczę, ale proszę: albo od Rubowiczowej daleko uciekać albo do jej domu zaglądać. Jeśli wam niewygodny moi mebli, albo nie po guście kuchnia, to możecie powiedzieć, ja zmienię.

Pułkownika, która dość czystą zwykle polszczyzną zaczynała rozmowę a dość kulawą kończyła, poczuwszy, że zaplatała się

w *ukrainność*, uściśnęła mnie tylko za rękę i odeszła.

Po mężu swoim zatrzymała w spadku dwie niechęci: do szlachty i żydów. Oba te więc żywioły, przynajmniej imienne, nie wchodziły w skład jej towarzystwa. Rzeczywiście jednak tu i owdzie wyskakiwały z twarzy znamiona typu semickiego lub przedzierały się przez demokratyczną maskę szlacheckie półśłówka. Nie mogło nawet być inaczej tam, gdzie towarzystwo stanowiło arystokrację duchową. Naród nasz, jako naród, zbyt niedawno żyje, ażeby mógł swe salony ozdabiać gwiazdami, które zaświeciły pod chłopską lub mieszczańską strzechą.

Zebrań tego dnia było niezwykle liczne. Śród obfitego grona strojnych, przeważnie mi nieznanach kobiet (bo przez dom pułkownikowej przepływała niemal co tydzień nowa fala ukraińskich, wołyńskich podolskich i litewskich „rybek“), spostrzegłem znaczny zapas literatów, umiejących korzystać ze „staropolskiej gościnności“, kilku młodych malarzów, widzących wszechświat w chudym koniu, dwu aktorów, dopełniających tryumfami na estradzie niedobór w powodzeniach teatralnych, jednego muzyka, zaznajamiającego publiczność salonową z „urywkami“ swej niedokończonoj jeszcze, ale szerokiej kompozycji — a obok tego posledniejszego, chociaż naj-



ze napisał do Roberta Peela list, którego jednak nie miał odwagi wysłać. Tymczasem ojciec zasadził go do pracy w kantorze swoim. Buckle później ze wstrętem wspominał o tej epoce swego życia, chociaż ona w nim rozwinęła zmysł praktyczny.

W 18 roku życia stracił ojca. Odziedziczywszy znaczny majątek, udał się w podróż z matką do Belgii, południowych Niemiec, Szwajcaryi i Włoch. Już wtedy (1840 r.) powziął myśl napisania wielkiego historyzoficznego dzieła. W tym celu zabrał się z zapałem do nauki i literatury krajów, które zwiedzał. Gdziekolwiek zatrzymywał się dłużej, pobierał lekcje języków u miejscowych nauczycieli. Korzystał z każdej sposobności, aby poznać obyczaje i ducha narodów, wśród których przebywał. Zadziwiającym był talent jego do języków. Sztuki piękne mało go zajmowały, muzyka wcale, tak, że nawet swojej rodzinie do opery nie towarzyszył. Tą bezwrażliwością podobnym był do Walter-Scotta, Niebuhra, Johnsona, Drydena, Edmunda Burke, Pitta i Foxa.

Podróż po lądzie stałym wywołała w umyśle jego znaczne zmiany; pedantyczny anglik zmienił się na wolnomyslicie-la, torys—na radykalistę.

Do uniwersytetu wstąpić nie chciał — zakłady szkolne w Anglii przejmowały go odrazą. Natomiast odczytywał skwapliwie wszystko, co mu w rękę wpadło. Lektura jego była pod względem ilości niezmiernie obfita, brakowało w niej jednak ładu.

Wkrótce potem wszystkie siły swe poświęcił badaniu dziejów i literatury średnich wieków. Plan ten przeprowadził z gruntownością i energią, jakie następnie znamionowały całą jego działalność. Celem owych studyów był zamiar napisania historii municypalnych i reprezentacyjnych żywiołów XV wieku.

W połowie 1843 r. przedsięwziął dłuższą podróż po Niemczech, Austrii i Włoszech. Po powrocie do ojczyzny zaczął rozmyślać nad wyborem zawodu, któryby nie prze-

szkadzał mu pracować nad nauką. Obrął tedy adwokatwę, przypuszczając, że przynajmniej podczas feryj sądowych będzie mógł swobodnie oddawać się czytaniu. Gdy jednak wąły stan jego zdrowia nie pozwolił urzeczywistnić tych zamiarów, oddał się ostatecznie i wyłącznie ulubionym studyom. Zebrał znaczną bibliotekę, która wkrótce zapełniła cały jego dom. Posiadał on wtedy 22,000 tomów; ponieważ jednak książki, które były mu już niepotrzebne, sprzedawał, po śmierci więc znaleziono tylko 11,000 tomów. Faktem jest, że prawie cały ten zbiór Buckle przeczytał, przecięciowo po trzy tomy dziennie. Czasami jedną odczytywał książkę dwa i trzy razy, co przecież przy wybornej jego pamięci rzadko okazywało się koniecznem.

Główną cechą usposobienia Buckle'a była olbrzymia ambicja; to też drobna próżność nigdy nie zdołała go pobudzić do wydania jakiegokolwiek pracy, którąby musiał w dojrzalszym wieku odwołać. Dlatego też, chociaż sądził, że pierwszy tom *Historii cywilizacji Anglii* będzie mógł oddać do druku już w r. 1852, później w 1855 i 1856 r.—wydał go dopiero w 1857 r. Ciągłe czytanie wzbogacało ustawicznie naukowy materiał i rozszerzało widnokrąg jego pracy. Mnożył dowody, źródła i wracał znowu do odczytanych niedawno dzieł. Nieustanna praca silnie podkopała z natury wątłe siły, zwłaszcza że jedyną rozrywką jego była sama przez się utrudzająca gra w szachy.

Roku 1853, dogadzając życzeniom lorda Kintorea, przedstawił Buckle cel i założenie *Historii cywilizacji w Anglii*. „Bardzo to trudno w kilku wierszach jasno przedstawić tak rozległy przedmiot. Powiedzieć jednak mogę, że dawno przyszedłem do przekonania, iż rozwój każdego narodu podlega pewnym zasadom, które zwykle nazywamy prawami, a są one równie konieczne, jak w świecie fizycznym. Przedsięwziąłem prawa te odkryć. W tym celu zamierzam ogarnąć ogólnem spojrzeniem moralne, umysłowe i prawodawcze właści-

wości wielkich państw europejskich i mam nadzieję, że zdołam skreślić warunki, wśród których owe właściwości powstały. Wszystko to doprowadzi do poznania, że między pojedynczemi fazami stopniowego rozwoju każdego narodu istnieją łączące je nici. Zamierzam te wzajemne ogólne stosunki zastosować w sposób szczególny i przy pomocy dokładnego rozbioru dziejów Anglii wykazać, jak one regulowały naszą cywilizację i jak stopniowo wytworzone a pozornie dowolne formy naszych praw, obyczajów i naszej literatury wysnuły się logicznie z poprzednich. Oto jest plan mego dzieła, którego wartość, jeśli ją zyska, zależy będzie od sumiennosci, z jaką plan mój wykonam i od powodzenia mych usiłowań, dążących do wyzwolenia historii z rąk rocznikarzy, kronikarzy i archeologów.

I pozostał wiernym temu planowi, chociaż nie zdołał go przeprowadzić całkowicie. Z 11 — 20 tomów, w których miał zawrzeć swoje dzieło, wykończył tylko dwa. Pierwszy tom, którego wydanie autor ciągle odwlekał, doznał odrazu życzliwego przyjęcia.

Księga Buckle'a stała się w Londynie przedmiotem rozmów potocznych. Tyle w niej było oryginalności, potęgi myśli, pracy i odwagi, że wszyscy zajęli się osobą autora. Lecz czczony w kołach prywatnych, doznał Buckle nieprzychylności prasy. Rozgłos dzieła przyczynił się do szybkiego rozpowszechnienia. „Gdybym ciemniej pisał — mawiał — wzbudziłbym mniej gniewu“. Zarzuty, czynione jego dziełu, obalają się wzajemnie w zestawieniu. Buckle czytał i zbierał wszystkie krytyki, odpowiadał zaś tylko na jedną (w uwadze II tomu), którą wybrał dla tego, że „odznaczała się zdumiewającą niewiedomością“. Wielką część zarzutów dotyczyła jego teorii, że rozwój ludzkości więcej zależy od działania praw rozumowych, niż moralnych. W jednym liście prywatnym zaznacza z tego powodu wyraźnie, że przyznał wyższość pierwiastkom moralnym

krzykliwszego gatunku kilkudziesięciu ludzi poważnych, wcale niegłównych, lecz niemniej stanowiących główny i stały rdzeń towarzystwa Rubowiczowej.

Witając najbliższych znajomych, przeleciałem zaciekawionym wzrokiem po twarzach kobiet, pewien, że zobaczę ją, królującą niepodzielnie, otoczoną tłumem wielbicieli. Nie dostrzegłem nigdzie. Nie wierzyłem własnym oczom — przepatrzyłem salon raz drugi, trzeci, może dziesiąty — daremnie. Ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie niesmaku, gniewu. Jakkolwiek w domu usunąłem skrupuły wyjścia przypuszczeniem, że jej tu nie spotkam, teraz nie tałem przed sobą, że przyszedłem tylko dla niej. Zawód spotęgował moją ciekawość, pod której wpływem zapominałem o Henryku; zdawało mi się, że jej poszukuję dla siebie, dla zadowolenia pragnień własnego serca.

Zły, niezadowolony, usiadłem w kącie salonu, bez chęci przyjmowania udziału w żywo toczącej się rozmowie o jakimś olbrzymim zapisie dla chłopów. Nie zauważyłem nawet, że obok mnie znalazł się znajomy lekarz, daleki krewny Rubowiczowej, jeden z najprzyjemniejszych jej gości — p. Grzywacz.

— Chyba my musimy odmłodzić — rzekł przyjacielsko — kiedy tacy jak pan się starzeją. Co to, chory pan jesteś?

Zagadnięty niespodzianie, osłoniłem się wymówką:

— Towarzystwo mi nieznane.

— Tem lepiej — zaśmiał się Grzywacz — większe zajęcie budzi. Masz pan dziś bardzo obfity wianuszek pięknych kobiet. Już to pułkownika umie wynajdywać różę. Co prawda, posiada ona tyle ładnych kuzynek, że mogłaby ich wdziękami natchnąć cały batalion poetów. Panny, wdowy, rozwódki, mężatki — co kto lubi. A już taka dobra rasa, że jedna w drugą jak łania.

— Czy ich mężowie również jak — jelenie?

Lekarz, który lubił swobodne a nawet rubaszne żarty, zaśmiał się głośno.

— I to się zdarzało, ale pozzrucali rogi i uciekli. Trudno, mój kochany panie: kobiety są oszczędne — część serca zostawiają mężom, jedną lub dwie komórki odnajmują kochankom. Chociaż między kuzynkami pułkownikowej jest tu taka, która własnemu mężowi nie pozwoliła przestąpić nawet progu swego serca i trzyma je dotąd niezajętą.

— Cóż mąż?

— Sprobawawszy różnych kluczy i wytrychów, odał za wygraną i rozwiódł się.

— Która to, jeśli wolno spytać?

Grzywacz spojrzał po salonie i rzekł:

— Nie ma jej, musiała w tej chwili wyjść do drugiego pokoju; siedziała tam, pod lustrem. Rzadkie licho — i staremu nieraz

w głowie zakreśli. Piękna, że odzegnać się od niej nie można. Czyta ciągle, marzy, rwie się do rozmaitych przedsięwzięć, zakłada szkoły, lecz, rozrzuca pieniądze, wspiera biednych i próżniaków, wlatuje, uniesiona jakąś myślą i znowu spada złamana zniechęceniem — a w tem wszystkim marnieje. Jest to, cudowna, wędrująca kamelia, nieszczęśliwsza od najszczęśliwszej rzodkiewki, którą ten lub ów wyrwie i ze smakiem spożyje. Jakaś błędna gwiazda, wytrącona z kolei.

Wymawiając te słowa, Grzywacz, zwykle odwracający ludzi śmieszną stroną, przeszedł w ton poważny. Słuchałem go uważnie, bo zdawało mi się, że mówi o niej. Odsunąłem jednak tę myśl, strzegąc się pomyłki.

— Teraz znowu ogarnęła ją chęć badania obyczajów zwierząt — mówił dalej. Nie jest to potrzeba wiedzy, ale przechodni smak, a raczej niesmak do ludzi. Zdawałoby się, że ta kobieta przepędza życie w miłośkach, a ona nikogo jeszcze prawdziwie nie kochała. Od czasu do czasu, jak gdyby na przekór logice, zajmuje się jakimś trutniem, walczy o niego, obsypuje go łaskami. Rzecz dziwna, im niższy gatunek ludzki, tem silniej ona się do niego przywiązuje. Warto ją poznać. No, ale nie będę pana dłużej zajmował bajaniem, bo panny



dla osobnika, a zaprzeczył tylko ich ważności ze względu na ustrój społeczeństwa. „Co w fakcie pojedyńczym jest przyczyną najwyższą, to w ich wielości okazuje się tylko najbliższą; nauka zaś ma za zadanie odkrywać przyczyny najdalsze, robić uogólnienia najwyższe... Jeśli kogo popechnę na pana tak, że zostaniesz zabitym, to popeknięty będzie wprawdzie przyczyną bezpośrednią, ale właściwą będę ja. Rzeczywiście ocaliłbyś pan swe życie, uniknąwszy popekniętego, ale ze względu na prawokarne, trzymałbyś się pan przyczyny dalszej i pociągnąłbyś do odpowiedzialności tego, co popechnął. Nauka właśnie musi zawsze wznosić się od przyczyn najbliższych do najdalszych, kiedy przeciwnie, w praktyce, osobnik najczęściej uwzględnia przyczyny najbliższe. Ta sprzeczność pomiędzy nauką a praktyką lub sztuką jest podstawą wielu moich wywodów“.

Z pozostałych po Bucklu papierów okazuje się, że wiele go zajmował wpływ kobiet na postęp wiedzy ludzkiej. Gdy go zaproszono do grona prelegentów w Royal Institution, wybrał właśnie ten temat. Pośród innemu chciał dowiedzieć, że dzielni ludzie mieli dzielne matki i że ród człowieczy wiele traci na zaniedbanem wychowaniu kobiet. Czuł on, jak pomysłnym był wpływ matki na jego własny rozwój. Oczekiwano wykładu z nadzwyczajną niecierpliwością. Odbył on się 19 marca 1858 r. z powodzeniem nadzwyczajnym. Poznano Buckla z nowej strony — jako znakomitego mówcę. Nie tań, że ten tryumf sprawił mu wiele zadowolenia. Faraday, Owen i Murchison dziękowali mu osobiście za wielką przyjemność, której doznali na odczycie. Otrzymał wiele listów z powinszowaniami i żądaniem, aby odczyt ogłosił. Jakoż wydrukował go we *Fraser's Magazine*. Dwa kluby: Athaeneum i ekonomiczno-polityczny wybrały go na członka „uznając jego znaczenie w literaturze“.

Już podczas wstępnych badań zebrał Buckle większą część materiału do drugiego tomu *History*. W połowie r. 1857, po-

krzepiwszy swoje zdrowie podróżą po Anglii, przystąpił do pisania drugiej części. Ale studia nie sprawiały mu już tego, co dawniej, zadowolenia: rzuciła na nie posępny cień coraz bardziej wzmagająca się choroba matki. Pani Buckle wiedła szybko, a to znowu podkopywało zdrowie jej syna. Dla odwrócenia dręczących myśli, przyjmował on często zaproszenia na obiady. Zaczyna staruszką, która nie pragnęła niczego, tylko dożyć sławy swego Henryka Tomasa, umarła 1 kwietnia 1859. Syn przypisał matce tom II. Ogarnęła go straszna rozpacz, z której nie zdołał już nigdy się otrząsnąć.

W tym czasie wyszła rozprawa Milla *O wolności*. Buckle z tego powodu skreślił umysłowy wizerunek autora. Wyborna ta praca ukazała się w maju 1859 r. we *Fraser's Magazine*. Zawiera ona świetną wycieczkę przeciwko sędziemu sir John Celeridge'owi. W dziełku Milla znajduje się następująca faktyczna wzmianka: „W r. 1859, w hrabstwie Cornwallis pewien nieszczęśliwy człowiek, który pod każdym względem wiódł życie nieposzlakowane, został skazany na 21 miesięcy więzienia za to, że wyrzekł kilka słów bluźniących chrześcijaństwu i napisał je na bramie“. Ze względu na panującą w Anglii wolność słowa, Buckle był wiele zdumiony tem doniesieniem Milla, i dopóty się nie uspokoił, dopóki nie zebrał danych, usuwających wszelką wątpliwość co do prawdziwości faktu.

Okazało się, iż rzeczywiście pewien wyrobnik, nazwiskiem Pooley, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, ale nader dziwaczny i nieco obłąkany, który czuł wielką nienawiść do Biblii i chrześcijaństwa, napisał na bramie kilka słów, w których porównał Pismo z chorobą kartofli; nadto kilka razy ustnie znieważył Chrystusa. Współmieszkańcy wsi uważali go za spokojnego waryata, czyn więc jego nie mógł wywołać żadnych szkodliwych następstw. Pomimo to, pewien duchowny zaskarżył go przed sędzią pokoju, a ten, również duchow-

wy, zamiast ulitować się nad nim lub udzielić napomnienie, kazał go zamknąć wareszcie i oddać pod sąd przysięgłych.

W sądzie, któremu przewodniczył John Coleridge, nie dano Pooleyowi obrońcy. Widzowie i sprawozdawcy dziennikarscy zauważyli u oskarżonego dziwne spojrzenia oraz ciągly niepokój; sędziowie jednak nie chcieli widzieć żadnych oznak pomieszczenia i wbrew angielskim zwyczajom w takich przypadkach, uznali go winnym i skazali na 21 miesięcy więzienia. Wkrótce musiano go przenieść do domu obłąkanych.

Podobny wypadek musiał naturalnie wywołać szlachetne oburzenie Buckle'a, którego energiczna, kochająca sprawiedliwość natura oburzyła się widokiem tej krzywdy. Zamiast milczeć, rzucił się wzorem Voltairre'a do walki za wolność i prawdę. Przyjaciele napadniętego sędziego stanęli wobec dwu dróg: wypadało go uznać albo za niesprawiedliwego, albo za nieudolnego. Ponieważ Buckle nie przypuszczał, aby Coleridge chciał tłumaczyć swój postępek nieudolnością i nieznajomością rzeczy, ogłosił więc skazanie Pooleya za niesprawiedliwość, okrucieństwo, „za wielką zbrodnię“ i przedstawiał „obwinionego“ t.j. sędziego, jako „wielkiego zbrodniarza“. Utrzymywał, że choćby sędzia nie wiedział, iż Pooley jest obłąkanym, to ukaranie niewinnego pozostałoby okrucieństwem, przestępstwem, gdyż dowodziłoby nietolerancji religijnej, sprzecznej ze współczesnym duchem Anglii, dawałoby wreszcie fanatyzm zły przykład.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

### II.

Zazwyczaj widzimy tylko czynności człowieka, tylko jego ruchy, tego zaś, co zachodzi w nim samym, co jest bezpośrednią i konieczną przyczyną owych ruchów i czy-

spoglądają na mnie z wyrzutem. Do widzenia.

Przeszedłem się po salonie, do którego przytykał mniejszy, słabiej oświetlony, gdzie siedziało kilka osób, prowadzących z sobą cichą rozmowę. Zająrzawszy z poza uchylonej portyery — drgnąłem jak uderzony: na małej sofce, obok młodego mężczyzny, siedziała ona. Jej głębokie, dziwnie przejmujące oczy spoczęły na mnie z taką mocą, że niemal uczułem ich dotknięcie. Nie wiedziałem, gdzie się podziać. Spostrzegłszy tuż przy drzwiach znajomego mi ojca pułkownika, który samotnie drzemał, usiadłem obok niego. Staruszek przywitał mnie życzliwie, i rad, że złapał kogoś do gawędki, zaczął po raz setny opowiadać dobroczynne skutki Marienbada. Ja tymczasem łowiłem chętnie każde słowo, które z jej ust głośniejsz się odzywało.

— Może masz pan słuszość — mówiła ona — że rozumem kobiety jest miłość. Ale nawet pod groźbą nierozumu kochać nie umiemy ludzie. Panto nazwiesz kalectwem, a ja doświadczeniem. Byłam już żoną. Człowiek jest z bliska istotą bardzo szpetną, szpetniejszą, niż zwierzę, bo ono nas pozorami nie ludzi i do marzeń nie pobudza.

— Pozostaje więc pani tylko — rzekł gorzko młody mężczyzna — przypatrywać się jedynie własnej piękności.

— Nie byłoby to tak niedorzeczne, jak pan przypuszczasz, gdyż tylko o sobie nie mam żadnych złudzeń, a więc nie doznaję żadnych rozczarowań.

— Szkoda, że z filozofii zrobiłaś pani tylko sztukę obrzydzenia sobie życia.

— I upiększania — dodała pospiesznie. Czy pan sądzisz, że odmówiwszy panu ręki, nie oddaję jej nikomu? Śni mi się codziennie mój kochanek.

— Poślubij więc pani widmo.

— Jestem już dawno z niem zamężną.

Młody człowiek uklonił się wstał i odszedł. Rozmowa ta wywarła na mnie głębokie wrażenie. Zdawało mi się, że słowa jej splatają się harmonijnie z marzeniami Henryka, że nie słysząc się wzajemnie, dwie te dziwnie pokrewne dusze tworzą miłosny duet. Czemu on szalony jej unika? Jak gdyby odgadując to pytanie, ona spojrzała na mnie smutnie i badawczo.

Nagle z salonu wpadła Rubowiczowa.

— Pan tu — zawołała — sądziłam, żeś pan uszedł. A! obiecałam panu...

Wzięła mnie za rękę i przedstawiając nieznajomej rzekła.

— Pan Okoński, złowiony uciekinier, moja kuzynka, pani...

Tu wymówiła nazwisko.

Nie chcąc waszej ciekawości zadawałniać zmyślonem imieniem a jednocześnie chcąc

uszanować tajemnicę mojego przyjaciela, nazwiska tego nie powtórzę.

W dwa dni potem przechodziłem ulicą Królewską. Przed mieszkaniem Rubowiczowej spotkałem Bukowskiego. Zaledwie przywitaliśmy się, tuż około nas stanął powóz, z którego wysiadła ona. Ukloniłem się jej — Bukowski zblił i spojrzał na mnie niespokojny. Gdy weszła do bramy, nie mogąc powstrzymać gwałtownie cisnących się słów, zawołałem:

— Henryku, ona jest...

— Niegodziwy! krzyknął Bukowski.

Zamilkłem — on posępny odszedł.

Od tego dnia unika mnie starannie. Widuję go często zgnębiętego. Zamiera powoli. Żal mi go serdecznie. Czemuż nie mogę mu powiedzieć chociaż tyle: legenda perska mówi, że Bóg rozkręcał jabłko na dwie połowy i rozrzucał je po świecie; z połówek tych wyrosły pary mężczyzn i kobiet, które do siebie ciągle dążą i wreszcie się łączą; otóż legenda ta, jak wszystkie inne, kłamie, bo zwykle się — nie łączy.

W. Okoński.



nów, ani się domyślamy nawet. Tymczasem każde poruszenie nasze połączone jest koniecznie z całym szeregiem czynności organów wewnętrznych, w których, skutkiem tego, muszą zachodzić pewne, mniej więcej ważne zmiany. Jak wielkim jest ten obszar odruchów, odbywających się w nas pod wpływem wrażeń, można to widzieć z następującej ich klasyfikacji, podanej przez Pflügera, w której odruchy wykonywane przez pewien jeden jakiś organ ciała, jako zbyt elementarne, nie są uwzględnione.

Bywają odruchy, zachodzące w pewnej jednej całej połowie ciała, prawej lub lewej, zawsze w tej, gdzie nastąpiło nerwowe podrażnienie. Zdarza się jednak, że odruch przenosi się na drugą połowę ciała, a wtedy uczestniczą w nim tylko te mięśnie, które odpowiadają mięśniom pierwszej połowy, to jest połowy, na której poczęły się ruchy pierwszej—te mięśnie, które biorąc rzecz teoretycznie, powinny być działać jedynie, gdyby odruch pozostał prostym i nie rozszerzał się na inne mięśnie. Jeżeli podnieta zewnętrzna działa na całą powierzchnię ciała (np. zimno, wiatr, kąpiel), odruch bywa silniejszy z tej strony, z której silniej działa zewnętrzna przyczyna. Można przypuścić (czasowo, póki przypuszczenia nie stwierdzą fakty), że prawie nigdy nie powstają odruchy pierwiastkowe, za dowód czego służyć może następujący fakt. Jeżeli laskoczymy śpiącemu dziecku nozdrza z prawej strony, drapie je prawą ręką. Jeżeli przytrzymamy mu prawą rękę i laskoczymy znowu prawe nozdrze, dziecko z początku usiłuje podrapać się ręką prawą, ale nie mogąc tego dokonać, drapie prawą stronę nosa lewą ręką. Zdarza się niekiedy działalność kilku organów z obu stron ciała, dla tego, że wrażenie powstało skutkiem jednoczesnej czynności kilku ośrodków nerwowych pod wpływem działania kilku organów zmysłowych, bądź bezpośrednio podrażnionych, bądź pośrednio jedno przez drugie w ruch wprawionych. Znane są nakoniec szeregi poruszeń odruchowych bezładnych w całym organizmie, np. spazmy, konwulsje i t. p.; tu już pewne wrażenie jest tak potężne, że organizm odpowiada nań całą swą istotą, wszystkimi swymi organami. Weźmy na uwagę dwa zjawiska: płacz i śmiech. Że charakter ich jest refleksyjny, widać to od razu. Trudno wszakże dowodzić, że płacz jest odruchem oczu, dla tego że źródło łez znajduje się w okolicach oczu, albo że śmiech jest funkcją właściwą gardła lub gębie. Płacze cały organizm, śmieje się też nie twarz tylko. Padamy ze śmiechu, nogi się nam podginają, doświadczamy też lekkiego spotnienia, uśmiewamy się dobrze. Jeżeli płacz przechodzi w spazmy całego ciała, jeżeli się kończy drgawkami, rzecz oczywista, że jest odruchem całego organizmu na skutek pewnych jakichś wzruszeń. A nawet jeżeli płacz nie przechodzi w dalsze formy spazmów i drgawki, to i w takim razie bywa częstokroć przyczyną obezwładnienia, utraty sił, osłabienia rąk i nóg, mięśni szyi, a najczęściej głębokiego snu.

Znane są powszechnie przykłady osiwieńcia w przeciągu kilku godzin, omdlenia, konwulsyj, utraty mowy (afazji), bezwładności tej lub innej części ciała (paralysis),

nakoniec pomieszczenie zmysłów w mniejszym lub większym stopniu w skutek silnych jakichś wrażeń<sup>1)</sup>. Znane są też powszechnie przykłady ludzi, rażonych śmiercią pod wrażeniem bolesnych moralnych ciosów, jakie na nich spadają. Ciekawą w stosunku do badanego przedmiotu rzeczą jest to, że dokonywane w podobnych wypadkach na zmarłych sekcje dowodzą, iż przyczyną fizyologiczną (a właściwie patologiczną) śmierci były nagle a rozległe zmiany w wewnętrznych organach, jak mózgu, płucach (rozszerzenie), sercu (hypertrofia), rozkład krwi, polegający na przemianie jej normalnego składu chemicznego (utrata białka) i t. d. Fakty te stwierdzone przy pomocy sekcji, mogłyby być wywnioskowane na drodze apriorystycznej. Jeżeli bowiem zdarzają się wypadki, że pod wpływem silnych wzruszeń ludzie dostają paraliżu, bywają tknięci niemotą i t. p., to bardzo naturalnie, że zmiany mogły i musiały nastąpić tylko w skutek koniecznych wewnętrznych zbroceń, wewnętrznych procesów patologicznych.

Wszystko to prowadzi nas do przekonania, jak wielkie znaczenie mają odruchy ze stanowiska badań psychologicznych. Jeżeli pewne wrażenie może sprawić w organizmie takie przemiany, jak paraliż, afazja i t. d. pochodzące wskutek silnych, a szczególnie nagłych wstrząszeń, rzecz oczywista, że wrażenie podobne, nie będąc ani nagle ani zbyt silne, lecz zwykłe, może a nawet musi sprawiać w nim zawsze pewne jakies zmiany. Zmiany te polegają na zużyciu się pracujących cząstek.

Przechodzimy teraz do nowej grupy zjawisk organicznych, do pracy organizmu ze względu na każdą jego najmniejszą cząstkę — komórkę. Człowiek, pracujący fizycznie, po jakimś czasie doświadcza pragnienia i głodu, czuje znużenie, potrzebuje koniecznie przyjąć posiłek, chce mu się wreszcie spać. Pochodzi to stąd, iż pracujące cząstki zużyły się, przekształciły i że nastąpiła chwila, kiedy one winny być zastąpione przez nowe, ażeby organ, w skład którego wchodziły, mógł należycie działać dalej. Wycieńczenie podobne następuje nie tylko po pracy fizycznej, — umysłowej, w podobny sposób wyczerpuje siły fizyczne organizmu. Zużyte części mięśni, mózgu i wszelkich narządów ciała opuszczają organizm w postaci różnych wydzielin, jako to głównie: moczu i kwasu węglanego, — że już przemilczę np. o pocie. O ile twierdzenie to jest słusznem, można powziąć wyobrażenie ze słów Spencera: „Jeżeli dla podtrzymania nerwowej działalności niezbędnem jest, ażeby pewne ciała znajdowały się we krwi, niemniej koniecznem jest także i to, ażeby innych pewnych ciał w niej nie było, albo, mówiąc ściślej, ażeby one były tylko w pewnym niewielkim stosunku (należałoby zdaniem moim dodać jeszcze „normalnym“ stosunku, to jest takim, jaki w stanie zdrowia stwierdza doświadczenie). Szkodliwe te pierwiastki są ciałami, powstającymi wskutek rozkładu wszystkich tkanek, a więc i nerwowej. Najgłówniejsze są kwas węglany i mocznik.“

1) J. Luys'a *Mózg i jego czynności*, polski przekład Warszawa, 1879, str. 74—76; Griesinger, *Choroby duszy* 2-ie wydanie ks. 2-ga, § 98 i 99.

W następstwie znacznego zwiększenia się w organizmie bądź kwasu węglanego, bądź też moczu, bywa śmierć<sup>1)</sup>. Zużyte szczątki organizmu opuszczają go w sposób mniej więcej taki, jak spalone w parowym kotle drzewo i zużyta para; ażeby maszyna mogła działać dalej, potrzeba ją we właściwy sposób nakarmić. A jak powiada Claude Bernard „zniszczenie materii nie tylko jest w związku z czynnościami funkcyjowaniami, ale jest raczej ich *miarą i wyrazem*“<sup>2)</sup>. „Cząstki organiczne, wprawione przez bodźce zewnętrzne w ruch, jaki towarzyszy wrażeniom i wzruszeniom a także wszystkie te cząstki organizmu, które później, to jest po odebraniu wrażenia albo bezpośrednio uczestniczyły w odruchu, albo pośrednio przyjęły w nim udział — skutkiem dokonanej przez nie pracy w mniejszym lub większym zużywaniu się, ulegają odwrotnej przemianie, to jest rozkładowi, przestają być czem były, stają się ciałami w stosunku do organizmu i wreszcie opuszczają organizm, wracają w postaci najróżnorodniejszych wydzielin napowrót do świata zewnętrznego, uległszy procesowi rozprężenia się, dyzassymilacji, wyszedłszy z tego związku, w którym się przed chwilą znajdowały. Bezpośrednio ten wydatek organizmu, albo wreszcie nawet i przemiana tylko cząstek, co jest prawdopodobnem<sup>3)</sup> będące następstwem pracy organicznej są faktem, zasługującym ze wszech miar na naszą uwagę.

Jakkolwiek pytanie to jest, zdaje się, dość stanowczo rozwiązane w stosunku do zjawisk, zachodzących we wszystkich tkankach organizmu, a więc i w tkance nerwowej, jednakże ponieważ tu głównie chodzi o te ostatnie i o organ, będący ich ogniskiem—o mózg, muszę się powołać na pewne fakty, świadczące, że i mózg w tym względzie nie stanowi wyjątku. Pracuje on w ten sam sposób, w jaki pracują np. mięśnie. Rozbiór chemiczny moczu, wydzielonego po natężonej pracy umysłowej, stwierdza obecność w nim, i to w ilości niezwykajnie zwiększonej, fosforanów i siarczanów. Osad ten jest materiałem, jaki się otrzymuje z zużytych cząstek mózgu. Pracowały nerwowe komórki, praca ich, ze stanowiska fizyologicznego rozważana, polegała na procesach utleniania; wchodzące w skład tych komórek pierwiastki stanowiące w połączeniu wzajemnem ze sobą ciała organiczne, uległy rozkładowi i jako niepotrzebne opuściły zajmowane przez nie miejsce, a jakieś to już widzieli, stały się nie tylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe dla organizmu. Gdyby pozostawały w nim nadal, mogłyby spowodować śmierć, jak też często powodują (kwas węglany np.) sen letargiczny.

„Każda cząstka ciała utleniona (to jest spotrzebowana), nie może już odgrywać w organizmie żadnej (dodatniej, odżywczej)

1) *Zasady psychologii*, tom I, cz. 1-sza, r. IV, § 30 czytaj wyd. 2-le.

2) La destruction matérielle est non-seulement liée à l'activité fonctionnelle, on peut dire qu'elle en est la mesure et l'expression“ ob. str. 23 jego dzieła *Les Phénomènes de la vie*, tom II-gi, 1879, Paryż.

3) Tamże str. 24. „Zniszczenie organiczne polega na przemianie formy ciał“ i uwagi Maudsleya w *Fizyologii i Patologii duszy*, cz. 1, rozdz. 2.



roli, chyba tylko podrzędną (np. woda jako płyn, sole). Tak mocz, chociaż zawiera w sobie dużo azotu, nie posiada najmniejszej odżywczej dla organizmu wartości<sup>1)</sup>.”

Te procesy rozkładu, odbywające się zawsze przy podniesionej temperaturze mózgu, zależą od utleniania się jego chemicznych pierwiastków. Na dowód tego może służyć zarówno fakt, że czerwona krew, dochodząca do mózgu, wraca z niego czarna i przesycona kwasem węglanym<sup>2)</sup>, jakoteż i to, że „praca mózgu jawnie cechuje się podwyższeniem ciepłoty i że mózg, jak czynny mięsień, objawia swą dynamiczną siłę za pomocą ciepła, dostępnego dla fizycznych narzędzi<sup>3)</sup>.”

Trzy te grupy faktów znane są powszechnie, potrzebowalem je tylko podnieść i ustalić każdą z osobna, ażeby tem możliwe były dalsze już z nich wnioski. Zobaczymy teraz, do czego prowadzi zestawienie tych faktów obok siebie w jedną całość? Jakie wnioski są koniecznym tego zestawienia następstwem? *F. Bogacki.*

## BOLESŁAW CHROBRY.

POD PIÓREM DYT MARA.

### IV.

Rok 1016 był dla Henryka II szczęśliwą dobą wypoczynku: bruździł mu wprawdzie w Burgundyi Wilhelm de Poitiers; ale na południu dokonywał żywota zacięty wróg Harduin, a wschodni demon Bolesław, „nie w tej porze“ niemcom „nie szkodząc“, „umacniał się w domu“ (21). W styczniu r. 1017, „cesarz przychyła się do przedstawień uczynionych przez Bolesława“, i wyraża nawzajem chęć zawarcia z nim pokoju na słusznych warunkach. Obie strony zamieniają między sobą poselstwa i postanawiają zawieszenie broni (35). Henryk II na załatwienie tej sprawy oczekiwał w Merseburgu. „Arcybiskupi moguncki i magdeburski, biskup halbersztacki z komesami Zygfrydem i Bernardem, innymi oraz panami—przez dni 14 nad rzeką Mildą obozem wciąż wytrwali, Bolesława przez orędowników do przybycia nad Elbę wzywając.“ Książę polski znajdował się gdzieś w okolicach Głogowa (Scyeyani). Odpowiedź, jaką dał posłom („Ani przez most ten nie przejdę!“), zdradzać mogła zarówno dumę Chrobrego, jak nieufność w bezpieczeństwo dla swej osoby, pośród niemieckiego obozu. Cesarz wziął ją za zniewagę, i zrywając układy, powoływał już wierznych tronowi do wojny z „nieprzyjacielem publicznym“ (36). W kilka miesięcy później „morawscy walecznicy trzymający stronę Bolesława, otoczyli podstępnie wielki huf bawarów i w pień wysiekli, mszcząc się za szkody przedtem sobie wyrządzone.“ Rokowanie o pokój z Bolesławem, wznowione przez cesarza, nie doprowadziło do pożądanego rezultatu (42). Mie-

szko wpadł tymczasem do Czech z dziesięcią rotami, pod nieobecność Udalryka, i z niezliczonym mnóstwem jeńców powrócił do ojczyzny. Cesarz wyruszył na wschód: posiłkowany przez Czechów i Lutyków, niszcząc wszystko po drodze, stanął pod Głogowem; następnie zwrócił się ku miastu Niemczy,—leżącemu w ziemicy silenskiej (na Szląsku), pragnąc zapobiedz zajęciu tego punktu przez Polaków. Zamiar ten wszelako, podobnie jak i pokusy o wzięcie grodu, na obleganiu którego trzy tygodnie z górą strawiono, nie powiodły się. Współcześnie Morawianie obdarli jakieś miasto w ziemi czeskiej, ale Henryk, margrabia bawarski pogromił w odwrocie łupieżców i odbił zdobycz. Walecznicy bolesławowscy kusili się też napróżno o zdobycie Bellegori (Biela—Ghora) w Daleminicach. Podobnego niepowodzenia doznali, wśród posiadłości Bolesławowskich, trzymający stronę Henryka II, Lutyce. Monarcha niemiecki, nie nie wskórawszy na Szląsku, zbiegł do Czech, gdzie go „nieprawy książę“ Udalryk ze czcią należną przyjmował. Bolesław ucieszył się wielce z takiego obrotu spraw wojennych, i radość swą z rycerstwem dzieląc, puścił zastępy na łupiestwo ziem sąsiednich. Wycieczka do Czech nie udała się, ale zamiar uprowadzenia jeńców i spalenia osad w krainie między Elbą a Mildą—został uwieńczony pomyślnym skutkiem. Te ruchy partyzanckie „okrutnego Słowianina“ nie ułatwiały zapewne powrotu do Saksonii, zwłaszcza że i Lutyce, doznawszy zniewagi od Niemców, przeciw Henrykowi powstali; Dytmars bowiem wylewając łzy nad klęskami współziomków, powiada: „Niepodobnem już się zdało wejście do kraju czeskiego, ale gorszem daleko było wyjście“ (44, 46, 47). Przy schyłku 1017 r. rozpoczęto z inicjatywy (według naszego kronikarza) polskiej—układy o pokój i wymianę jeńców. „Na to wszystko cesarz za usilnem wstawieniem się swych książąt, przyzwolił, a wtenczas poraz pierwszy doszła go wiadomość, że król Rusinów, jak to mu już przez posła był obiecał, kroki przeciw Bolesławowi rozpoczął, obległszy jednak któreś z miast jego, nie nie podolał“ (48). W dalszym ciągu Dytmars, cofając się w przeszłość, przystępuje do wykładu okoliczności i następstw uwięzienia Świętopełka z żoną i doradcą ich obojga, biskupem kołobrzeskim, Reinbernem. Włodzimierzowi W-mu autor nasz nie sprzyja (52).

*Księga VIII.* Na czele tej ostatniej księgi swych roczników zaznacza Dytmars dość lakonicznie fakt pierwszorzędnej wagi, który można uważać za ostatnie słowo naszego kronikarza i słup graniczny w dziejach wojny Bolesława z Henrykiem: „W dniu 30 stycznia 1018 r. na rozkaz cesarski i skutkiem usilnego ze strony księcia Bolesława nalegania zaprzysiężono w Budyszy nie pokój,“ warunki jego były nie takie, jakie się godziło, ale jakie w owym czasie uzyskać było podobna.“ Książę polski dał rękojmię dochowania obietnicy w wybranych przez reprezentację niemiecką zakładnikach, a następnie pojął w małżeństwo pożądaną oddawna Ode, córkę margrabi Ekkiharda.

Wzmianka o pokoju i ślubach Bolesława służy autorowi za powód do uwag nad

obyczajami narodu (polskiego) „który nakształt bydła strzeżony być musi, a karcony nakształt leniwych osłów.“ Rozwodziąc się w tem jedynem miejscu szerzej choć jednostronnie nad odłamem nienawistnego sobie plemienia, mówi o uświęconym w państwie Bolesława barbarzyńskim systemie karnym, mianowicie o smutnym losie cudzołożników i o „chwalonym“ zwyczaju wyrwania zębów za naruszenie wielkiego postu. Z wyjątkiem tych szczegółów, inne prawa bolesławowskie wzgardliwym milczeniem pomija, jako zbyt surowe i „do budzenia jedynie postrachu przydatne.“ To daje mu sposobność do westchnienia raz jeszcze z głębi serca nad plagą, jaką Bóg zesłał na Sasów w osobie przewrotnego Bolesława. Odwraca więc oczy od chwili obecnej, a odgrzebując tradycje pogańsko-mieczysłowskie, wspomina o zwyczaju zabijania żon po śmierci mężów i o barbarzyńskich karach na nierządnicę. Obfity w treść i uromaiony rozdział kończy się jaskrawym obrazem bezkarnie brojącej rozpusty, jaką autor już nie w państwie Bolesława, ale dokoła siebie na szerszym widnokręgu ogląda (2). W tymże, 1818 r. zdarzyły się jeszcze, przed skonem Dytmara, dwa godne pamięci wypadki, które Biskup merseburgski na ostatnich kartach swej kroniki drżącą ręką uwiecznił: 1) wygnanie przez Słowian pomorsko-nadelbiańskich (w miesiącu lutym) księcia obotrytów, Mściława za to, że Lutykom „przed rokiem w wojnie z cesarzem pomocy żadnej nie dał (4); 2) opowieść „o szkodzi żalosnej, jaka w tym czasie Ruś nawiedziła,“ a więc o ekspedycji kijowskiej—aż do chwili największego powodzenia, któremu towarzyszy wyprowadzenie przez Bolesława poselstw z darami do Grecyi i Niemiec (16). Na tem zdarzeniu kruszy się pióro dytmarsowe.

(Dokończenie nastąpi).

## LEOPOLITANA.

Stała nam się nowina: Autonomia powiła syna!

Synem tym jest — jak wam zkadinał pewnie wiadomo—nowynasz krajowymarszałek, krewki burmistrz krakowski, dr. Mikołaj Zyblikiewicz. Od zapisania też faktu tego w niniejszej kronice rozpocząć mi wypada gawędę mą dzisiejszą, — imię bowiem świeżego nominata jest u nas w tej chwili na wszystkich uścich, a wywyższenie jego witają radośnem *Hozanna!* stronnictwa nasze, frakcyje i {koterye *cujusvis farinae*; — omal żem nie powiedział: wszystkie wojsk niebieskich zastępy!

Mylibyście się jednak wielce, przypuszczając, że radość owa, tak wyjątkowo ogólna, jest dowodem jednolitości dążeń, ożywiających nasze społeczeństwo, lub też sądząc, że imię dra Zyblikiewicza jest jednym z tych sztandarów, które za sobą porywają masy. Tak nie jest wcale, i świeży nominat nie przerasta jednym włoskiem przeciętnej c. k. galicyjskiej skali, którą mierzyć należy mężów stanu tutejszego autoramentu. Mir swój *dzisiejszy* — kładę nacisk umyślny na to ostatnie słowo — za-

<sup>1)</sup> Charles Letourneau, *Biologie*, Paryż, 1877, wydanie 2-ie, str. 493 i 494.

<sup>2)</sup> Luys, *Mózg i jego czynności*, str. 72, odsyłacz I-szy.

<sup>3)</sup> Tamże, str. 77 i 78. Ciekawe doświadczenia są opisane w Tarchanowa *Psychomotorne centry*, Petersburg, 1879, str. 65 — 69.



wdzięcza dr. Zyblikiewicz przypadkowi, który go uczynił niejako wspólnym mianownikiem wszystkich etnograficznych i kastowych właściwości naszej dzielnicy. Będąc bowiem z urodzenia mieszczaninem, z chrztu — rusinem, z przekonania — polakiem, z zawodu — palestrantem, z temperamentu — radykałem, owszem nawet, częstokroć — tromtadratą, a z powziętych w swem dotychczasowem publicznem życiu nawyczek — konserwatystą w galicyjskiem, stańczykowskiem tego słowa znaczeniu, — streszcza w sobie nowy nasz marszałek etnograficznie i społecznie całą naszą „szczuplejszą ojezyznę“, z wyjątkiem jednego tylko chyba żydowskiego żywiołu. Szczęśliwiec ten znajduje się przeto w wygodnem położeniu owego z bajki nietoperza, który, dzięki swej proteuszowej naturze, mógł, stosownie do okoliczności, równem prawem być zaliczony do ptaków, jak i do czworonogów. Tem się też tłumaczy i radość, którą nominacja jego we wszystkich naszych politycznych wywołania obozach; — ptacy bowiem i czworonogowie, czyli mówiąc innemi słowy: polacy i rusini, mieszczaństwo i szlachta, postępowcy i stańczykowska *Camarilla* dopatrują się w proteuszowej postaci nowego marszałka rysów swemu własnemu obliczu pokrewnych i widzą w wywyższeniu świeżego nominata spełnienie własnego programu i tryumf własnej zasady (Obacz w tej mierze odnośne artykuły: *Czasu*, *Gazety narodowej*, *Dziennika polskiego*, *Nowin gal.* — ba nawet — i rusińskiego *Dila!*).

Z humorystycznego punktu widzenia patrząc — a trudno jest na tutejsze sprawy patrzeć inaczej! — nie miałbym zresztą, nie do zarzucenia tej tak zadziwiająco zgodnej radości wszystkich galicyjskich świętych, gdyby nasze „wojsk niebieskich zastępy“ nie zapominały w swoim uniesieniu o tem, że obecne zamianowanie krajowego marszałka jest prostym wynikiem wakansu i postanowień obowiązującego u nas krajowego statutu, a zatem niczem innym jak tylko wypełnieniem obowiązku, którego niewypełnienie byłoby ze strony rządu samowolą i bezprawiem. Niestety jednak — i tu się właśnie zaczyna tragika! — zapominają dziś o tem wszystkie nasze stronnictwa bez wyjątku. Owszem nawet, za danem z *Czasu* hasłem dopatrują się one w prostem wykonaniu ustawy jakiegoś nadzwyczajnego dobrodziejstwa, jakiejś szczególniejszej „łaski“, — i dopatrzawszy się tego, spieszą na wyścigi z podpisywaniem weksli, wystawionych za wdzięczność, którą kiedyś — może! — trzeba będzie zapłacić w monecie zapałów i ofiar — zwykłej w takich wypadkach waluty!

Tu niech mi wolno będzie zrobić uwagę, którą mi nasuwa objaw ten chorobliwy. Jest nią mianowicie to ciekawe, lecz nie mniej prawdziwe spostrzeżenie, iż konstytucjonalizm austriacki, pod którego opiekunkiem skrzydłem dziś żyjemy, nie przyczynia się wcale do pokrzepienia żyjącego w piersi naszej poczucia prawości i sprawiedliwości. Owszem nawet, — im dalej w las, tem więcej drzew; im dłużej żyjemy pod tymi konstytucyjnymi rządami, tem bardziej zanika w umysłach naszego ogółu to poczucie, tak głęboko niegdyś tam zakorzenione, ustępując miejsca jakiejś dziwnej

teorii „o łasce“, która to teoria, obecnie do szambelańskiego dostrojona klucza, zaczerpnięta jest po części z Biblii a po części z mesyanicznych mrzonek naszych poetów romantycznego okresu. Pomyślcie sobie Męża Czterdzieści i Cztery w postaci c. k. austriackiego hofrata lub feldmarszałka, a będziecie mieli mniej więcej dokładny apolog tej genealogii, a zarazem ostatnie słowo mej myśli. Przyczyną tego dziwnego zaniku poczucia sprawiedliwości w umysłach naszego społeczeństwa jest przedewszystkiem to, że swobody, których tu używamy, czyli tak zw. autonomiczne nasze „koneesye“ oparte są nie na obowiązującej, zasadniczej ustawie, tylko na administracyjnem rozporządzeniu, i należą przeto do rzędu owych dóbr, o których w danym razie można powiedzieć, tak jak Job biblijny: „Pan dał, Pan wziął; niechaj będzie błogosławione imię Pana!“ Przyczyniła się do tego również i działalność Stańczyków, którzy przestali być już dziś narodowym stronnictwem, a stawszy się *de facto* dworską *Camarillą*, każdy akt rządowy wprost z ustawy lub z konieczności wypływający jako dowód nadzwyczajnej „łaski“ rządu tłumaczą, i do tejże „łaski“ jako wyłącznego źródła wszystkie nasze swobody odnoszą. Znajdujemy się więc w tem dziwnem położeniu, iż to, co się u nas *par excellence* konserwatywnem stronnictwem mieni, psowując w umysłach ogółu naszego poczucie prawowitości i sprawiedliwości, wywraca nasze podstawy społeczne i spełnia przeto wprost rewolucyjne dzieło. Wynika ztąd, że konserwatyzm naszych Stańczyków nie jest tem *ce qu'un vain peuple pense*, i że polityka galicyjska nie jest polityką, lecz romantyczną poezią, snującą dalej mesyaniczną przedzę lat dawniejszych, z tą tylko różnicą, iż z przełży tej wyrabiają się dziś galony do szambelańskich fraków!

Lecz wracam do nowego marszałka. Zapytacie mnie z pewnością czy rząd nasz powodował się istotnie wyższymi jakimś względami, powierzając marszałkowską łaskę d-rowsi Zyblikiewiczowi i zrywając tym sposobem z dotychczasową tradycją, wedle której ster najwyższej naszej autonomicznej władzy powinien zawsze być udziałem dziedziców historycznego nazwiska? Odpowiedzieć na to pytanie nie umiem, wszelakoż — *experto credite Roberto* — najlepiej podobno będzie nie szukać pobudek tego czynu tak daleko. Powiedziałem wam już, że żyjemy w okresie „łaski“ i „sabejskiego mesyanizmu“, — nie zgrzeszymy przeto przeciw logice, jeżeli komentarza do wywyższenia dra Zyblikiewicza poszukamy we wspomnieniach wspaniałych festynów, którymi stary gród Krakusa podejmował przed kilkoma miesiącami austriackiego monarchę, a których głównym reżyserem był, jak wiadomo, były burmistrz krakowski, a dzisiaj nasz marszałek. „Łaska“ monarsza spływa od tąd na głowę jego obfitą strugą. W przeciagu niespełna miesiąca doznał p. Zyblikiewicz potrójnego wyszczególnienia, otrzymał krzyż komandorski jednego z najznakomitszych austriackich orderów, zostawszy dalej dożywotnim członkiem Izby panów wiedeńskiej Rady Państwa, a wreszcie powołanym na marszał-

kowskie krzesło, osierocialcie przez ustąpienie hr. Ludwika Wodzieckiego *länderbankowej* pamięci. Wszystko to przypomina — jak widziecie — *Wielką księżną Gerolstein* i Offenbacha! — Jeżeli więc do tych czynników dodam jeszcze wzgląd, że p. Zyblikiewicz jest kawalerem, i przeto obok istniejącego już „dworu“ J. E. hrabiny Namiestnikowej drugiego już „dworu“ w mieście naszym prowadzić nie będzie, to poznać już mniej więcej wszystkie pobudki, które nominacji nowego marszałka przewodziły. Rzecz to zaiste smutna, lecz mimo to wielce prawdziwa, *car c'est de cette manière qu'on fait chez nous l'histoire!*

Mimo to wszystko nie ma jednak Galicya wcale powodu martwić się powołaniem p. Zyblikiewicza do steru autonomicznej nawy. Politycznie fakt ten nie ma wprawdzie żadnego znaczenia, i nie jest wcale — jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało — krokiem naprzód, po drodze wiedzącej do zdemokratyzowania naszego społeczeństwa. Świeży nominat jest Stańczykiem, a wywyższenie jego, będące — jak sam *Czas* przyznaje — zwycięstwem krakowskiego stronnictwa, nie zmieni nic w dotychczasowym układzie naszych stosunków i nie ożywi też naszego autonomicznego aparatu bardziej postępowym duchem. Cokolwiek bądź, tuszyc można, iż nowy nasz marszałek przy znanej swej energii i administracyjnych zdolnościach, silniejszą pochwyli ręką ster krajowej administracji i wprowadzi chociażby częściowy ład w tej stajni Augiasza, gdzie pod niedołącznymi rządami hr. Wodzieckiego tak srogi zapanował nieporządek. W tej też nadziei witają ludzie myślący z radością jego wywyższenie, nie przywiązując zresztą do tego faktu żadnego głębszego, lub — jak chcą pp. Stańczycy — „wyższego politycznego znaczenia“.

W szeregach naszej delegacji śmierć zbiera świeże, obfite żniwo, porywając jednego po drugim najwybitniejszych naszych parlamentarnych szermierzy. Zaledwie odprawiliśmy do grobu zwłoki Kornela Krzeczunowicza i oplakali stratę nieodżałowanego Andrzeja Rydzowskiego, a już przynosi nam telegraf z nad Dunaju nową jobową pocztę — wiadomość o nagłej śmierci Ludwika Skrzyńskiego, znakomitego mówcy i gorącego rzecznika naszych swobód prowincjonalnych. Brak miejsca nie dozwala mi poświęcić pamięci tych zasłużonych mężów obszerniejszego wspomnienia, zwłaszcza, że działalność każdego z nich ściśle jest związana z historią naszych walk politycznych, i że chcąc ją poddać chociażby pobieżnemu tylko rozbiorowi, musiałbym tu opowiedzieć niemal cały konstytucyjny okres dziejów naszej dzielnicy. Niechaj mi tu przeto wolno będzie powiedzieć, że wszyscy trzej miłując kraj równie gorącym uczuciem, aczkolwiek zapatrując się na jego dobro odmiennie, poświęcali mu wszystkie swe siły, a działając każdy w swym zakresie i wedle najlepszej swej wiedzy i sumienia, zapisali nazwiska swe głęboko we wdzięcznej pamięci rodaków. Wszystkich trzech zaskoczyła śmierć w służbie krajowej zdala od ojczyznej ziemi, tak jak żołnierzy waleczących *usque ad finem* w obronie domowego ogniska. Cześć więc



tej rycerskiej trójcy! cześć tym, co się do-  
brze zasłużyli ojczyźnie!

Żałoba, która w skutek śmierci Krze-  
czunowicza i Skrzyńskiego dotyka niemal  
wszystkie z nimi spowinowaczone, dosta-  
tniejsze domy naszej stolicy, odbija się  
prawdopodobnie także i na fizyognomii te-  
gorocznego karnawału. Interesa jego sta-  
ły — prawdę powiedziawszy — już i tak  
wcale nie świetnie, mianowicie dzięki  
owym wspaniałym wystąpieniom naszej  
szkatuły w czasie monarszej podróży, które  
niepospolitą dziurę wydarły we wszystkich  
Jaśnie Wielmożnych i Jaśnie Oświeconych  
kieszeniach. Wprawdzie wyrasta siew ów-  
czesny bujnym dziś plonem „łask“ rozma-  
itych, aliści — *ecce dolor!* — „łaski“ te, czy-  
sto zresztą osobiste, spływają wyłącznie na  
głowy Beniaminków dworu — Stańczyków,  
tudzież ich klienteli. Ztąd też kwas okro-  
pny w naszych arystokratycznych ko-  
łach, — kwas i aż do krańca posunięta oszczę-  
dność, która się oczywiście także odbijać  
musi i na handlowych naszych stosunkach.  
To też bawi się u nas dziś tylko niemiec-  
kie towarzystwo, — a więc *Non raggio-  
nam di loro, ma guarda e passa!*

Junius.

## STILLER BANKEROTT!

### II.

Widzieliśmy, kto niby kark łamie, zoba-  
czmy teraz, kto nieszczęśliwych niby w prze-  
paść strąca. Mamy tu do czynienia z gro-  
madą wyższego rzędu, agentami handlowy-  
mi. Nie zapominajmy, że między kupcem  
i agentem istnieje stosunek, więc i prze-  
dział między złodziejem strzygącym owcę,  
która wpadła do jego owczarni, a tym, co ją  
tam zagnał. Dwie kategorie rozpluwają  
się czasami w jednej, ale dzieje się to nader  
rzadko. Zwykle wspólną mają oni między  
sobą tylko chęć prędkiego zrobienia ma-  
jątku. Po za tem — drogi i środki ich roz-  
chodzą się zupełnie.

Rodowód ich nawet inny. Wykluwają  
się oni zwykle już nie z kupczyków, ale  
z kantorowców. Nieokreśloność zajęcia ne-  
ci ku sobie i nieokreślonego charakteru lu-  
dzi. Do głównego zastępu, jakiego dostar-  
czają kantorowcy, przyłączają się: wykoleje-  
ni obywatele ziemscy, dymisjonowani urzę-  
dnicy, szulerzy i podupadli arystokraci...

Stosunki — podstawą, a bezczelność i spryt  
bywa zwykle koroną ich działalności. Je-  
śli potrzeba, masz w nim przyjaciela lub lo-  
kaja. Bywa nawet prezesem szanownej  
instytucji, konserwatystą czystej krwi,  
a nawet radykałem. Zresztą, radyka-  
lizm nie popłaca. Zadaniem ich — prze-  
konać cię jawnie choćby o tem, że krzywa  
linia jest najprostszą między dwoma punk-  
tami. Nie dokonałby może tego Newton,  
ale przeciętny agent zrobi to zawsze.

Zatrzymajmy naszą uwagę na świecą-  
cych najjaśniejsz. Są to „ajenci domów.“

Co to jest agent domu? To przedstawiciel  
interesów jakiejś fabryki czy zagra-  
nicznego kupca. W jego stosunkach z do-  
mem widzimy dwie fazy. Najprzód epoka

miłosna — dobijanie się o względy, przy-  
czem rolę powabów odgrywają wspomnia-  
ne już przez nas referencye. Brak ich na-  
grądza spryt, występujący pod posta-  
cią zręcznie pisywanych do „domu“ li-  
stów, naszpikowanych złotem obietnicami.  
Skromność nie jest bynajmniej cechą tych  
literackich popisów. Z odwagą bohaterów  
rosyjskich „bylin“ autor wylicza w nich swo-  
je wielkie czyny, jak to wprowadził na  
nasz rynek handlowy nie niewartujące wy-  
roby kupca M. M. jaką sławną kampanię  
odbył ze znanym bankrutem H., u którego  
postradali wszyscy z wyjątkiem jego do-  
mu M. M. — wylicza na koniec swe wpływy,  
cnoty i niemal tytuły do laurów.

Ajent „presentable“ jedzie w tym celu  
sam za gnaniem. Jak piłka odbija się on  
od ściany do ściany i po kilku miesiącach  
takiej podróży zwiezie napewno wystar-  
czający materiał dla zebrania w przyszło-  
ści wymarzonego runa.

W drugiej fazie agent mniej już myśli  
o interesach domu a więcej o swoim wła-  
snym. Szuka on już wtedy kupców na  
swe ryby. Stosownie do wartości towa-  
rów reprezentowanego przezeń domu albo  
szuka kupców, albo też oni jego szukają.  
O to mniejsza. Główną rzeczą jest zawsze  
oszukać domy.

Ruch to warunek życia — tak tutaj jak  
i wszędzie. Chodzi o to, żeby jak najbar-  
dziej wciągnąć jakiegoś fabrykanta na tu-  
tejszy rynek, poczem występują wspom-  
niane już przez nas *regulacje*...

Ajent, czy też jego otoczenie — alarmują  
zagranicznego wierzyciela weksłami o ban-  
kructwie polskiej firmy. Równocześnie  
agent prowadzi z kupcem miejscowym ukła-  
dy, czasami popychając go nawet obietni-  
cą swej pomocy do tego kroku...

Ratuj, jak i co możesz — pisze równo-  
cześnie zrozpaczony wierzyciel do swego  
przedstawiciela. Układaj się energicznie.  
Bierz co się da, — tylko spieszenie.

Ajent reguluje... jak może. Stopień ko-  
rzystności bankructwa bywa zależnym pra-  
wie zawsze od sprytu — a czasami — i od  
zamożności bankrutującego. Biednemu  
ogłasza się zwykle upadłość. Jest to śmierć  
cywilna dla kupca. Ajent ma wtedy pole  
do okazania swojej energii. Bywa wówczas  
okrutnym sędzią dla niedoli, bo prawdzi-  
wie nieszczęśliwi kupcy, upadłszy raz, nie  
podnoszą się już prawie nigdy...

Lecz niech tylko odpowiedni fundusz znaj-  
dzie się dla ajenta w kasie upadłego, wte-  
dy niewątpliwie pomoże mu on przemienić  
się z jawnego w „cichego“ bankruta. Za-  
miast potępienia, zyskuje kupiec królestwo  
boże. Wierzyciele, wzruszeni wymowne-  
mi przedstawieniami pośredników, prze-  
syłają mu po regulacji wyrazy swej sym-  
patyi, a co ważniejsza jej dowód w zwięk-  
szonym kredycie. Wszystko, poczynając  
od fortuny, trzyma wtedy za nim. Nawet  
„światła“ opinia i tu przecież woli „ciche-  
go“ nad jawnego bankruta! Jeszcze razy  
kilka ponawia się owa historia a kupiec  
robi się o tyle „solidnym“, o ile agent bo-  
gatym.

Niejedna tylko droga prowadzi do Rzy-  
mu. Są ajenci, działający z większym ka-  
pitałem... sprytu. Zamiast rzeczywistych  
kupców, dobierają sobie za spółników fik-  
cyjnych. Z równą łatwością wymyślają

oni wtedy nazwiska, z jaką fikcyje owe  
obdarzają sklepami czy magazynami. Nad-  
chodzący towar sprzedają na własne ry-  
zyko, wystawiając wzamian udane weksle.  
Dzieje się to czas jakiś. Potem znów na-  
stępuje regulacja, gdzie ajent za nie nie-  
wartujące weksle w obawie czasami tylko...  
kryminału, daje wierzycielowi 50 i 60%  
stosownie do okoliczności. Jest to co naj-  
mniej nieuczciwa wspaniałomyślność!

Posunęmy się zresztą o jeden szczebel  
wyżej!

Mamy przed sobą zupełnie nowe zjawis-  
ko. Świeża jego data zapewne przyczy-  
ną, że olśniewa nas ono bardziej *moralnym*  
niż *materyalnym* blaskiem. Więcej tutaj  
bowiem sprytu, niż złota. To — ajenci  
bankowi!

Stanowią oni wytwór ostatnich czasów.  
Przeważnie są to dzieci prowincyi. Przy-  
szli na świat wraz z wprowadzeniem  
różnych filij i banków prywatnych. Im-  
ponują raczej jakością swoich wpływów, niż  
ich ilością. Są tak sprytni, że słysząc o ich  
działalności, chciałoby się mimowoli za-  
miast słów oburzenia wygłaszać gorące  
pochwały.

Dzielią się na dwie kategorie. Jedni,  
wyznaczani przez bank dla dania opinii  
o stanie zamożności proszącego o kredyt —  
są zapytywani o to z urzędu; drudzy znów,  
pokątni, wyzyskują tylko stosunki pierw-  
szych.

Nie będziemy powstawali przeciw samej  
instytucji tego rodzaju agentów. Stanowią  
one nader smutną konieczność. Admini-  
stracya bankowa nie będąc w stanie wyro-  
kować o charakterze i zamożności kołacza-  
cego do niej o kredyt kupca, zmuszoną by-  
wa o to pytać jego kolegów.

W tym celu bank obiera sobie w każdej  
miejscowości pewną ilość ludzi, od których  
o każdym takim zasięga opinii. Nieumie-  
jętny jednak ich wybór, czy też niemożność  
zrobienia innego powodowała smutne po-  
myłki. Przed kilku laty obrał sobie przy-  
puścmy bank W. — kilku bankierów-li-  
chwiarzy za opinio-dawców. Ponieważ po-  
zyskanie kredytu przez każdego kupca, bę-  
dącego z nimi w stosunkach, pociągało za  
sobą dla nich straty, w udzielanych tedy  
opiniach wybitniał dziwny fakt. Pomyśl-  
ność ich odpowiedzi na zapytanie banku  
bywała w stosunku odwrotnym do stanu  
zamożności proszącego o kredyt. Jeżeli bo-  
wiem kupiec był o tyle pewnym, że go owi  
bankierzy zasilali dotychczas kredytem,  
stawał się on według ich zdania stanowczo  
„niesolidnym“ dla banku. Jeżeli zaś jego  
hypoteka kupiecka była o tyle zamazaną,  
że jej owi bankierzy więcej już swym kre-  
dytem obarczać nie chcieli, odstępowali  
chętnie tę przyjemność pytającemu o zda-  
nie — bankowi...

Ależ to nadużycie zaufania! Przenigdy.  
Przypominamy specjalne słownictwo han-  
dlowe. To tylko — grzeczność, wyświadczo-  
na proszącemu o nią, tem bardziej obowią-  
zkowa, im mniej niebezpieczna dla tego,  
który ją wyświadcza...

Bank Polski, zakładając nowe filie w mia-  
stach prowincjonalnych, był pod tym  
względem w położeniu o wiele niekorzy-  
stniejszym. Nowo ustanowiona administra-  
cyja, mając do wyboru albo oryentować się  
w ciemności nieznanym jej miejscowych



stosunków, albo uciec się do opinii biegłych, wybrała drogę ostatnią. Zwykle tedy opiniodawcami zostawali ci, co się o to starali, a nie ci, co na to zasługiwali. Nie robimy z tego powodu zarzutów Bankowi Polskiemu. W obec uśpionego u nas na prowincyi sumienia publicznego, o tyle trudną, o ile niebezpieczną była ucieczka do jej pomocy. Dzięki jednak temu faktowi, z przedmiotu obywatelskich usług zrobiono przedmiot oszustwa. Przyodziewało się ono zresztą w różne szaty.

Brak miejsca nie pozwala nam rozpatrzyć szczegółowo jego podgatunkowań. Zresztą jeden wymowny przykład wybawi nas z tego kłopotu. Jakiś zręczny agent, zamysłiwszy i dokonawszy *wielką operację*, połączył w tym celu prawie wszystkie owe środki, jakie charakteryzowały genialnych na tem polu działaczy. Rozpatrzenie tedy tej jednej operacji da nam pojęcie o wielu jej pokrewnych. Rzecz się dzieje w jednym z miast gubernialnych. Pan N. podejmował się zwykle wyrabiania kupeom i obywatelom kredytu w miejscowej filii. W imieniu żądających N. robił podania i kiedy bank zwracał się do wskazanych opiniodawców, ci uprzedzeni, czy też uproszeni w ten lub inny sposób przez p. N. odpowiadali zwykle zgodnie z jego życzeniem tj. bez namysłu wypełniali podany im szemat w rubrykach *dobry* lub *znany*. P. agent pobierał rozumie się za tę usługę odpowiednie wynagrodzenie. Korzystając z takiej łatwości uzyskania kredytu, nie tylko drobni kupcy, ale nawet i przekupki miejskie dostawały się na listę osób odpowiedzialnych do wysokości kilku set lub kilku tysięcy rubli.

Dyskontowany bowiem przez bank weksel musi być opatrzonej dwoma podpisaniami. Otóż temu bardzo łatwo sprytny N. zaradził. Właściciele domów przez jego pośrednictwo uzyskiwali kredyt dla swych stróżów, kupcy dla swych subiektów i poręczeniami tych świętych tureckich wzmacniali swoje własne zobowiązania. Czasami znów dla odmiany weksle wystawione przez kilka przekupek N. sprzedawał w banku a pieniądze chował... dla siebie, dopóki nie przyszła pora wykupu lub sposobności do jakiegoś nowego podstawienia.

Powodzenie jednak wzmacnia odwagę. N. zapragnął wyższego rodzaju laurów. Wymyśliwszy kilkanaście, czy też kilkadziesiąt nazwisk, obdarzył je jakimis fałszywymi świadectwami, i porobiwszy odpowiednio w ich imieniu podania do banku — wyrobił im a raczej sobie, na imię owych nieistniejących osób — kredyt. No, a opiniodawcy, którzy przecież świadczyli, że owe manekiny były *dobre* i *znane*?

Tu występuje dosadnie kilka naszych enót. Nie zdając sobie bynajmniej sprawy ze swoich czynów, poświadczali oni spokojnie na prośby p. N. stan majątkowy jakiegoś nieistniejącego Ciuciubabskiego lub Piórkowskiego, bo te stopnie kupieckiej cenzury nie zobowiązują ich do żadnej odpowiedzialności. Co ich to obchodzi, że Ciuciubabski nie istnieje? Piszą *znany* lub *dobry*, bo to nie nie kosztuje. Potem już operacje uskuteczniały się w sposób bardzo prosty. Nieistniejący Ciuciubabski wystawiał weksel na rzecz również nieistniejącego Piórkowskie-

go, a ponieważ oba już (dzięki powyższej operacji) — mieli sobie przyznany kredyt, N. łatwo weksel sprzedawał bankowi. W krótkim czasie N. wytworzył kilkadziesiąt takich zmyślonych osobistości, których podpisy na wekslach zręcznie kombinował między sobą, z początku wykupując je w terminie, a później...

Pewnego poranku p. N. ujrzał się za granicą, a bank znów posiadaczem nie niewartujących weksli na kilkadziesiąt tysięcy rubli. W dodatku, ani wystawców, ani poręczycieli nie można było odnaleźć. Bank wszakże nie zropaczył: podniósł dyskonto weksłów i w kilka miesięcy niedobór pokryli ci... którzy nie urządzając szacherek, zawsze za nie płacą. I znówu powtarza się zwrotka tej samej pieśni cichych bankrutów: oni kradną, a ogół pokutuje. Nie dość tego w zajmującym nas przykładzie.

Dowcipny gracz kredytowy wrócił z zagranicy, a że okradziony bank, pokrywszy zwiększonym dyskontem straty, nie miał żadnej pretensyi, więc cichy bankrut osiadł bezpiecznie w miejscu rodzinnym i może w tej chwili myśli o nowych kombinacjach.

Nie przesuwamy dalej przed oczyma czytelnika panoramy „cichych bankrutów“, chociaż zająłby ich niejeden jeszcze okaz. Nadużycie kredytu w celach niegodziwych, stawianie na wąskiej podstawie materialnej szerokich przedsięwzięć i umyślne wywracanie ich po to, ażeby osiągnąwszy korzyść znówu je postawić, spekulowanie na zagranicę, która bez wiary do naszego charakteru zbywa towary, doliczając do ich ceny możliwość podstępnego bankructwa, w ostatecznym zaś wyniku tych nadużyć — odzieranie ogółu — oto są niezdrowe, szeroko rozpostarte objawy naszego handlu, które niewidzialnie toczą jego ustrój. Tyle porosło chwastu na tem polu, że ogół powoli zaczyna utożsamiać pojęcie handlu z pojęciem szachrajstwa, a kupców, z oszustami. Jest to niesłuszne, ale usprawiedliwione w części choćby postępowaniem wielu jego przedstawicieli. A jednak i na piszącym te słowa, klątwa rzucona na synów Merkurego robi wrażenie skargi kulawego, żalącego się Epiktetowi na brak jednej nogi. „Niewolniku, odpowiada mędrzec — kogóż obwiniasz o twe kalectwo? Co słusniejsze: czy żeby Jowisz był zależnym od twej nogi, czy noga twoja od Jowisza...“

Tym nieubлагanym Jowiszem są przyczyny ogólniejsze, zaznaczone przez nas w pierwszym artykule. *Stiller Bankerott* z jego odmianami — to tylko wyrzut na niezdrowym naszym organizmie handlowym. Trudno. Podjęliśmy tę sprawę ze świadomością przekonaniem, że artykuły literackie nie zdołają go co prawda spędzić z tamtąd, gdyż westchnieniami nie leczymy się ran społecznych; pocieszamy się jednak myślą, żeśmy społeczeństwu otworzyli oczyma chorobę i jej źródło — a to znaczy wiele.

Jan Finkelhaus.

## URWANY AKORD.

Jak rozkosznie na tym świecie!...  
Kto tu o łzach mówić śmie?! ..

Bóg na wszystkich łaskaw przecie —  
Niedowiarki, wierze mnie!...

\* \* \*

Raz późną nocą wracałem z balu,  
Spojony, syty — w humorze...  
Pełen tęsknoty i pełen żalu,  
Że bal się wrócić nie może.

Szedłem tak marząc, uwity w delję;  
Walc dzwigał jeszcze mi w uchu —  
Grzałem przy piersi świeżą kamelję,  
Uszczkniętą z łona Jej puchu...

I w szczęściu serca rzekłem do Boga:  
„Niech imię Twoje nam świeci!...“  
W tem nastąpiła na coś ma noga...  
Zmarznięte były to dzieci. —

S T U Ł A.

Organy grały, świece gorzały,  
Ksiądz wiązał ręce im stulą.  
Dwie sobie dusze poprzysięgały  
Wierność i miłość — tak czuła!...

\* \* \*

Organy zmilkły, świece zgorzały,  
Ksiądz ślubnym cieszy się darem... ..  
Wierny Anielec oddał się cały,  
Wierna uciekla z huzarem. —

J. Zengteller.

## PIŚMIENICTWO POLSKIE.

**Włóścianie u nas i gdzieindziej.** Szkice historyczne przez Walerego Przyborowskiego. Wydawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki N. IV. Wilno, 1881 r. 8-a str. 231. —

Oświadcza autor we wstępie, że postanowił „zbadać powody, które na zachodzie pierwotnie, a potem u nas chłopów przytwierdziły do roli“ (str. 2); że się *przekonał*, jako przytwierdzenie owo „nie był to wytwór polski, ale że Polska zapożyczyła go od swych zachodnich sąsiadów“; obiecuje też w końcu wykazać „że ucisk chłopów polskiego był jeszcze rajem wobec ucisku w Niemczech lub we Francji w pewnych chwilach, wobec nakoniec strasznej, zupełnej niewoli *gdzieindziej*“ (str. 3). Z powyższych zapewnień wniesie łatwo, że literatura nasza w pracy p. Przyborowskiego zyskuje *badanie* i to nie tylko historii włóscian w Polsce, ale i *gdzieindziej*. Badanie zaś owo te (według autora) niepospolite posiada strony, że się w wywodach *nie myli* (str. 2); *wszystko* „bez uprzedzeń i namietności“ przedstawia; „*bryłki* czystej prawdy zawiera. Naturalnie, szanowny autor namozolił się mocno. Przystępując do pracy, nie mógł się „pozybyć pewnego uczucia smutku, wywołanego tym zamiarem“; niewiele miał „poprzedników w naszej literaturze historycznej“; a co najgorsze — częstokroć trzeba było samemu (!) obrabiać materiał surowy, by wydobyć z niego bryłkę czystej prawdy dziejowej“ (str. 3). Szukajmyż tych „bryłek“.

Nim książka p. Przyborowskiego ujrzała światło, opole (*vicinia*) było połączeniem pewnej liczby wiosek, w jedną zamkniętą całość, w celu czuwania nad bezpieczeństwem publicznym i wspólnego składania na korzyść księcia pewnych ciężarów. W razie, gdy zbrodniarz nie został odkryty lub napadniętemu nie nadbiegli mieszkańcy z pomocą, — za przestępstwo odpowiadało opole; ono też składało księciu takie ciężary, których nie mogła dźwi-



gnać jednostka, np. *vaccam et bovem* — wołowe i krowne. Tymczasem autor dziełne rzeczy znalazł w opolu. „Nikt, powiada, z członków opola nie był właścicielem ziemi, ale było nim całe opole, cała gmina. Starszyzna wyznaczała grunta każdemu i mogła je też odebrać... Gmina ta była tu wszystkim, pojedynczy mieszkaniec niczem. Jego wola, dążności, cele, zamiary ginęły w woli, dążnościach i zamiarach gminy“. Podobna organizacja trwać miała do końca XIII wieku, ale niektóre jej właściwości przetrwały aż do XV stulecia (str. 10).

Skądże autor wydobyl tę „bryłkę“? Powołuje się na prawo barne Kurpiów, na konstytucję z r. 1667 i prawo obelne Jedlni; lecz w jaki sposób powiązał to wszystko z opolem? — zrozumieć trudno. Jak rozszerzanie atrybucji i utożsamianie opola z samorządem, tak błędem jest również narzucanie ostatniego epoki piastowskiej. Samorząd wymarzony w pierwszej połowie bieżącego stulecia pod wpływem demokratycznych dążeń czasu; badania zaś nowe nie uznają go wcale.

W określaniu i wyliczeniu ciężarów p. Przyborowski także rozpisuje się mylnie. Powiada, że daniny i obowiązki oznaczono ogólną nazwą prawa ziemskiego (str. 17); chociaż dyplomata znają w tym względzie termin *jus poloniale*; nie rozróżnia ciężarów, leżących na jednostkach i wioskach, od obowiązków opola. Dla czego autor nie poparł faktami twierdzenia, że „za utratę sokoła lub psa całe opole płaciły dość wysokie kary“?; dla czego ciężarów nie przeliczył porządnie, lecz tylko „mniej więcej“ (str. 19). Gdzież obras, mostowe, podworowe, grocz, swacyrba, godne, pijeza, *coquina*, panienskie, wdowie i tyle innych? Zresztą, czyż te ciężary same tylko składały chłopci?; czyż samo poradne i to tylko do r. 1347 (?) płaciła szlachta?

Takie opole, jak je pojmuje autor, istnieć miało do końca XIII wieku; upadać poczęło w ten sposób, że „król (może książę) zrzekał się danin i powinności kmiecych na rzecz obdarowanego; czyli że opole z pod władzy królewskiej przechodziło pod cięższą, bo bezpośrednią (?) władzę pana“ (str. 21). Chociaż zbiory dyplomatyczne *właściciel* autora w nadania książęce i pozwoliły mu przytoczyć „kilka (!) bardzo ciekawych faktów, rysujących dobitnie stan rzeczy“; — pomimo tego powyższego ustępu nie zrozumiałbym wcale, gdyby nie wyjaśnienie, że na podstawie darowizn „klasztór lub pan wstępuje na miejsce zwierzchności gminnej, wydziela grunta, których nie opole, ale on jest właścicielem“ (str. 22). Tu p. Przyborowski zabrnął fatalnie. Zapewnił wyżej (str. 10), że właścicielem ziemi było opole, a do księcia należały tylko daniny; obecnie zaś nie tylko daniny, lecz i grunta rozdaje instytucjom i osobom prywatnym. W jakim to sposób mógł książę rozdawać rzecz cudzą? Wprawdzie w innym miejscu autor zaznacza, że „teraz (t. j. w XII czy XIII wieku) właścicielem stawał się najprzód król, a potem (?) klasztor, biskup lub rycerz“; lecz w jaki sposób ów „król“ p. Przyborowskiego w XIII w. stał się właścicielem ziemi, będącej własnością opola?; dla czego stał się właścicielem gruntów owych dopiero w XIII w., kiedy autor już w X stuleciu buduje (przez nieznajomość księdza Gackiego) klasztor sieciechowski i na rzecz jego czyni nadania (str. 23)?

Rzecz dziwna, że samorząd w tej właśnie chwili, w której autor każe mu zniknąć, pod nazwą prawa niemieckiego dopiero się zjawia. P. Przyborowski wie o prawie niemieckim, ale tylko „mniej więcej“, — „w ogólnych zarysach“ (str. 27). Sołtys był, według autora „zawsze wybieralny dożywotnio“, a grunta posiadał „przeważnie dziedzicznie“ (str. 27); raz, „osadnik niemiecki, siedząc na wieczystej dzierżawie, nie zawsze ją mógł sprzedawać lub

dzielić“ (str. 27); a w innym miejscu „Nie-mie, obcy przybysz, jest właścicielem gruntu, na którym osiadł“ (str. 28). Nie dowiadujemy się od autora, czy kmiecie uciekali tylko z opolów do osad na prawie niemieckim, czy też starali się o nie i sami.

W pomnikach XIII stulecia mieszcza się dwie grupy wiesniaków: *liberi i ascripticii*, zwani także *obnoxii*, *servi glebae* lub *servi*. Autor terminów tych nie zna i bez żadnych dowodów niewolników od przytwardzonych odróżnia. To, co mówi o jurysdykcji patrymonialnej i o wzroście znaczenia szlachty, zastanowienia jest godnem. Wylicza kilka uwolnień z pod jurysdykcji urzędników książęcych i krotoczwilnie dodaje: „znalazłoby się może więcej tego rodzaju nadań, gdyby dobrze poszukać; ale... dość tych paru przykładów... że szlachta XIII wieku nie miała jeszcze nad kmieciem sądów potrymonialnych, chyba wyjątkowo, jako przywilej“ (str. 32). Sądźmy, że należało właśnie *dobrze poszukać*, albowiem nie sam przykład, lecz wielość faktów decydować tu może. A co znaczy ten ustęp: „szlachcie, który otrzymał w darze od króla pewną przestrzeń ziemi, starał się przede wszystkim o to, żeby uwolnić swego kmiecia z pod prawa polskiego, czyli o przeniesienie danin i powinności z osoby królewskiej na siebie...“ (str. 32). Wnosićby można, że król płacił daniny, a poczciwy szlachcie chce z niego zdjąć ciężar i włożyć na siebie; to znowu rodzi się domysł, że może rycerz gorzał chęcią uwolnienia chłopca od powinności prawa polskiego...

Według autora „mało było istotnych moralnych różnic między kmieciem i szlachcicem XII wieku“... „wszyscy sobie byli równi moralnie i umysłowo, a przy takim stanie rzeczy różnice społeczne nie mogły mieć zrazu wielkiego znaczenia“ (str. 36). Ciekawy to ustęp wobec nawoływania Kałużka, że „błędzą ci, którzy szlachectwa nie w duszy, lecz we krwi dopatrują“; wobec istnienia baronów; wobec zresztą samego autora, według którego „na zewnątrz (?) różnił się chłop od szlachcica tylko w zakresie przywilejów (bagatela), które szlachta otrzymywała w końcu XII wieku“ (str. 34). P. Przyborowski poczucia „wyszości krwi lub przeznaczeń szlacheckich“ nie znajduje nawet w statutach wiślickich „bo takich pojęć ówczesna szlachta nie mogła jeszcze o sobie i w sobie (?) wytworzyć“ (str. 38). A co znaczy stopniowanie głów-szczyny i grzywien za rany? Zresztą na jakiej zasadzie każe autor szlachcie w XII już wieku polityczną odgrywać rolę, wypędzać Mieszka, Kazimierza na tron wprowadzać i — to najciekawszą stanowi „bryłkę“ — skądże wie o tem, że w tymże stuleciu „znikają na zawsze z dóbr szlacheckich wszelkie ciężary prawa ziemskiego“ (str. 34), skoro w innym miejscu obwieścił, że szlachta do r. 1347 płaciła poradne (str. 17)?

Gniewa się autor na statut wiślicki „tak wychwalany przez niektórych naszych pisarzy“ (str. 38); w innym znów miejscu rehabilituje jego względem chłopów przepisy i tryumfuje, jako jest *pejoracja*, że go przedstawia „w nowym świetle“, w którym „zyskuje“ (str. 42). Nie musiał jednak szanowny badacz statutu tego czytać dość pilnie, skoro raz twierdzi, że właściciel nie był obowiązany dotrzymać umowy z chłopem (str. 41); drugi raz znowu, że „kmieć mógł skarżyć niedotrzymującego kontraktu pana do sądów ziemskich“ (str. 44). Czyż to także ma być nowem, na statut rzucanem światłem, że sołtys *niczem* się od szlachcica nie różnił (str. 43)? Po cóż więc statut małopolski wiślicki z sołtysa kreuje rycerza i to ostatniego gatunku? Nie miał widocznie p. Przyborowski przed sobą Helela, gdyż nie porównał chłopca wielkopolskiego z małopolskim i nie wykazał pomiędzy nimi różnic. Zabawne ma także autor pojęcie o pakeie koszyckim. Twierdzi, że „odtąd (t. j. od paktu) szlachta ma

w swem ręku t. zw. w średnich wiekach *jus ducale* i poczyną nosić dumny tytuł *dziedzica*“ (str. 45)... Więc przed nim prawa książęcego szlachta nie miała i nie znała własności...

Podobnych kwiatków po dziejach chłopca z XV, XVI i XVII stulecia rozrzucono moc wielką; nie poskapiono ich także wiekowi XVIII, który autor studyował tak głęboko i z taką lubością, że z tego powodu nie jest w stanie sam dla siebie utaić zachwyty. „Uważamy sobie — powiada — za obowiązki zaznaczyć *najmniejsze drgnięcie* w tym zbawiennym kierunku (reform), gdyż szereg tych drobnych kamyczków złoży się na *pyszna mozaikę*, na *wspaniały monument* (!) dla naszych ojców, którzy... skona-li z księgą praw, z uśmiechem ulżonego sumienia“ (str. 183). Czyż streszczenie ustaw Brzostowskiego i księżnej Jabłonowskiej, lub powtórzenie tego, co inni o Przebendowskim, Zamojskim i Chreptowiczu pisali, ma stanowić ową „pyszna mozaikę“ i ów „wspaniały monument“? Śledził p. Przyborowski za „najmniejszym drgnięciem“ w epoce reform, a kwestyi chłopskiej w literaturze czteroletniego sejmu nie dojrzał. Chociaż miał 38 (?) broszur, dotyczących sprawy włościańskiej, — nie wymienił ich przeciw ikorzystał z nich nie chciał, „gdyż w ogólności niewiele one przedstawiają interesu“ (str. 8). Jakaż szkoda, że się autor nie przyjrzał *Listom* Kołłątaja i tak znakomitemu broszurom, jak: *Uwagi praktyczne o poddanych polskich względem ich wolności i niewoli* (1790), *O poddanych polskich* (1788), *Myśli polityczne dla Polski* (1789) i t. p. Zresztą w owej pysznej mozaice p. Przyborowski nie wie, czego się trzymać. Raz z Lubomirskim wiek XVIII nazywa czasami pańszczyźnianych satura-nali (str. 155); na drugiej stronie zaznacza, że „w Polsce z XVIII wiekiem zanosi się na lepsze... poczynają się coraz częściej pojawiać jasne gwiazdy polepszenia nadziei“ (?). Zapowiada, że przypatrzy się „im (gwiazdom) starannie“, a jednak zawodzi. Powiada, że „gdyby dobrze poszukać“, — znalazłby mnóstwo przykładów obudzonego sumienia w narodzie; „ale nie doprowadziło by nas (t. j. autora) to do niczego“ (str. 201).

Niepodobieństwem jest śledzić za myślą autora, który, pisząc, nie myślał; nie podobieństwem jest również wyczerpać 1/1000 sprzeczności, błędów faktycznych i przeciwnych urojeń. P. Przyborowski identyfikuje poradne z podymnem i stróżę z sepem (str. 17); w XIII w. znajduje Polskę *samowładną* (str. 24); rękodemstwo rozszerza po za ramy Mazowsza (str. 78); znawojewództwo sochaczewskie (str. 101); w początkach XVI w. ustanawia podatek, zwany kwartą (str. 105); Przyłuskiemu nie pozwala się bawić w uzasadnienie swego programu, to znowu uzasadniać go każe (str. 115); Russa *Uwagi nad rządem polskim* wydaje „mniej więcej około r. 1790“ (str. 211) i t. p. i t. p.

Na każdej stronie ułokował autor naukowe odkrycie i zadziwia nowością faktów. Kościuszko „znosił stanowczo przyzwyczajenie do roli i nadawał chłopu zupełną swobodę osobistą“; a oprócz tego „zapewnił mu własność ziemi“; — w dalszym znów ciągu manifestu polanieckiego „nakazuje zmniejszenie danin, powinności i pańszczyzny“ (str. 213). Któż z powyższego docieknie, czy Kościuszko nadawał chłopu ziemię na własność, czy tylko zmniejszał pańszczyznę; trudno bowiem przypuścić, aby mógł jednocześnie stanowić jedno i drugie. Zresztą wrzekome uwłaszczenie przez Kościuszkę wiesniaka autorowi nie podoba się mocno i bohaterowi z tego jedynie przebacza względu, że „nie znał on (Kościuszko) dobrze tych rzeczy“, t. j. nie wiedział, jak p. Przyborowski, że chłop u nas nigdy nie miał własności rolnej, a „więc bez dobrowolnej umowy lub długoletniego wykupu“ posiadać jej nie



mógł. „Nie znalazł on dobrze tych rzeczy“! — ale za to p. Przyborowski wie dobrze, że nadanie wieśniaka (*sic*) polskiego bezwzględnej własnością sprzeciwia się historyi i historycznie wytworzonym stosunkom“ (str. 223). Doprawdy, gdyby była pewność, że przed wiekami istniało u nas ludożerstwo, — należałoby się obawiać poważnie, żeby go autor w imię „historyi i historycznie wytworzonych stosunków“ nie wskrzesił.

P. Przyborowski nie tylko, że niczego nie dowiedział, ale nawet nie był w stanie przedstawić tego, co w sprawie dziejów chłopów dotychczas zrobiono. Nie wiemy, co w książce jego bardziej podziwiać: ubóstwo wiedzy, lekkomyślność, arrogancję, czy też świętą naiwność. Bez znajomości źródeł i takich opracowań, jak Roeppla, Hubego, Wojciechowskiego, Bobrzyńskiego i tylu innych; bez elementarnego wykształcenia historyczno-prawnego; bez rozsądku i loiki, na wstępie barki włożył brzemień Atlasa i śmie jeszcze z dzisiejszych badaczy, pseudo-historykami ich zowiąć, pokpiwać (str. 116)...

Wł. Smoleński.

## LIBERUM VETO.

Ukryta tajemnica. — Zkąd bierzemy reformy. Wieści które się rodzą w Petersburgu a umierają w Warszawie. — Prośba o wyjątek w regule. — Nowy frak na rachunek samorządu. — Odkrywanie Ameryki. — Kolumb płocki. — Balet, maskarady i teatr. — Ptacy niebiescy i gęsi teatralne. — Sprzedaż mandatów. — Szczerść względem zachwiania się pensjonatu. — Karta pogrzebowa.

W gazecie *Nowoje Wremia*, w której szpaltach *polskiej wopros* już teraz nawet na chwilę spać się nie kładzie, trysnął świeży strumień humoru. „Po dziennikach przemknęła wiadomość, że wypracowano projekt reform niektórych w Król. Polsk. i że projekt ten rozpatrują wyższe władze państwowe; rossyjska jednak prassa nie a nie o tem nie wie. Czy wie cokolwiek warszawska? Sądźmy, że tak; lecz ona *umie* milczeć nie tylko z powodu warunków wiadomych, ale i dla tego, ażeby nie „niestosownego“ (*niepodechodzaszczawo*) nie dostało się do prassy rossyjskiej...“ Mamy więc, dzięki *Now. Wremieni*, znowu głęboko zakopaną tajemnicę, obstawiliśmy rogatki warszawskie strażami, ażeby ona do dzienników rossyjskich się nie przekradła. Ach, czemuż z piwnicy dwu pism, do których należę, nie mogę przynieść sobie bułki „*niepodechodzaszczawo*“ i w czterech ścianach upić się sam tym słodkim odurzającym nektarem! Zgodziłbym się nawet nalać z niej kieliszek *Now. Wremieni* i trącić się po bratersku. Niestety, ani ja, ani nikt z moich znajomych w prassie warszawskiej nie wie o żadnych reformach; nikt nas do milczenia nie zmuszał i gotowi jesteśmy każdej chwili pootwierać wszystkie szlabany rogatkowe dla wiadomości, wyjeżdżających z Warszawy do Petersburga. Jeżeli zaś *Now. Wremia* chce wiedzieć, zkąd u nas biorą wszelkie wiadomości o „reformach“, to najchętniej zadowolnię jego ciekawość objaśnieniem. O tem, co się stało, donosi nam niemal zawsze *Prawitielstwienij Wiestnik*, o tem, co się ma stać, *Nowosti*, *Golos*, *Motwa* lub *Nowoje Wremia*. Oto są główne i jedyne źródła nasze, z których czerpiemy wszystko „*niepodechodzaszczawo*“; jeżeli zatem jakaś nowina nie wędruje od nas do Petersburga, to tylko dla tego, że tam się narodziła a u nas umiera. *Nowoje Wremia* nie może

sobie nawet wyobrazić, ileśmy już pochwali „reform“ wyległych w własnym jego gnieździe, nie urodziwszy dotąd ani jednej własnej. I teraz dowiadujemy się o nich z 6-go N-ru *Strany* i 8-go N-ru *Golosu*, gdzie na str. 1 w szp. 3 i 4 ciekawi znaleźć mogą przedmiot ten wyłożony obszernie a opatrzone wyczerpującymi i daleko po za koniec nosa *Now. Wremeni* sięgającymi komentarzami.

Wszystko to — jak rzekłem — znajduje się nie w którejkolwiek z gazet warszawskich, lecz w odgadującym zamiary rządu i lepiej niż my poinformowanym *Golosie* — *loco citato*. Jeżeliśmy więc mieli jakąś tajemnicę, to *Golos* nam ją wydarł, podsłuchał i puścił w świat coś „*niepodechodzaszczawo*“. W końcu nadmienię winieniem, że jeśli *Now. Wremia* przystąpi do ułożenia politycznej gramatyki polskiej, niechaj mnie pomieści między wyjątkami od reguły, według której wszystkie imiona, kończące się na...ski, są rodzaju... naiwnego. To znaczy, nie pobiegnę do czytelników moich z radosną nowiną i nie padnę przed nimi zatechnięty, aż w *Praw. Wiestniku* przeczytam urzędową wiadomość...

Nie przeczę, że między moimi stęsknionymi do innego życia ziomkami są łatwowierni. Znam jednego pocziwego kupca, który przeczytawszy powtórzoną przez nasze pisma ze *Strany* wiadomość, że „dowolono gubernatorom zapraszać na posiedzenia, przedstawicieli organów samorządu“, przywołał do siebie najstarszą córkę i rzekł:

— Jak uważasz Michasiu, czy w tym fraku możnaby jeszcze pójść na sesję gubernialną?

— A czy tatko został radcą?

— No, jeszcze nie zostałem, ale kto wie, mają być powoływani do obrad ludzie prywatni, członkowie samorządu... Więc, trzeba sprawić nowy.

Mała bieda, jeżeli ktoś na rachunek „wkrótce mających nastąpić“ reform sprawi sobie frak nowy, gorsza — jeżeli na tym łodzi zamek zbuduje. Cotu mówić o *jutrze*, którego, jak trafnie mówi ks. Baka „nie wyorzesz plugiem“, kiedy „nie dogonisz *wczora*“ cugiem.“ Przed kilku dniami przebiegła po naszych gazetach „pocieszająca wiadomość“, że „ustawa towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży została *podobno* zatwierdzoną“. O bogi, nauczyliście mnie się śmiać, nauczcież teraz, jak się od śmiechu wstrzymać. Jaka ustawa? przez kogo *podobno* zatwierdzoną została? A toż nie długo upłynie dwa lata, jak minister oświaty osobnym, we wszystkich gazetach drukowanym i objaśnianym okólnikiem *polecit* zakładać przy szkołach towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży. Nietylko pojedyncze gimnazja wypracowały odpowiednie projekty, ale nawet pojawiły się składki, poszukujące za pośrednictwem prassy skarbonek, do którychby bezpiecznie wpłynąć mogły. Więc chyba w jakiej szkole zrobiono to, co minister *polecit* — inaczej nie pojmuję owej „pocieszającej“ wiadomości. W tej postaci jest ona dla mnie tem bardziej zrozumiała, że my nieraz odkrywamy prawa, jak Amerykę, a nawet znajdujemy w nich skarby. Najlepiej to poświadczą Kolumb płocki ks. Ołdakowski, który pełniąc obowiązki gimnazjalnego prefekta, dopiero teraz przypadkiem z miejscowego *Korespondenta* dowiedział się, że mu wolno religię wykładać po polsku.

Spostrzegam po niewczasie, że o tak nudy przedmiotach, jak sny reformowe i towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży, nie przystoi mówić w karnawałowej porze. Zdałoby się coś o balach, o maskaradzie, no, wreszcie o naszej „świątyni“ — teatrze. Co do balów, nie odmawiając kwiecistości opisom kuryerowym, sądję za najwłaściwszy misprawozdawcami w tym kie-

runku byliby lichwiarze, których albumy powiększyły się niezawodnie wymownymi pamiątkami. Maskarady — jak zapewnia jedno z pism najlepiej poinformowanych — odznaczają się świetnymi kostiumami, które prawdopodobnie garderoba teatralna, zaopatrzona w starzyznę, pozwala amatorom dodziierać. Ze sfery dowcipu na szczególne wyróżnienie zasługuje pomysł pewnego cheiwego stosunków miłosnych młodzieńca, który przebrał za kobiety czterech posłańców i kazał się im intrygować, budząc podziw między znajomymi obfitością napastrujących go „maseczek“.

Co do świątyni Melpomeny, mogę się podzielić z wami, czytelnicy, również radosnym faktem, że podczas gdy warszawska jej arcykapłanka za przejażdżkę po Europie otrzymała kilka tysięcy rubli znacznie powiększonej pensji, kapłani prowincjonalni chodzą podobno po polach i wygrzebuja z głodu niewykopane kartofle, ażeby mieli siłę do należytego odgrywania wicehrabiów i książąt. Na szczęście, zająców, kuropatwom i prowincjonalnym aktorom przychodzi w pomoc lekka zima, która pozwala nadto ogryzać młode gałązki i skubać zielone żyto. Ach, czemuż te ptaki niebieskie, które nie sieją, nie orzą i jeść nie mają co, czemu te prawdziwe *truhy* prowincjonalne nie powędrują na kilka tygodni bodaj pieszo, bodaj do Zgorzelic lub Bochni, i wróciwszy, nie podyktują swym dyrektorom wyższych warunków? Przy sposobności nadmieniam, że na wiosnę spodziewany jest odlot teatralnych gęsi, którym lato u nas szkodzi, i że izba niższa parlamentu teatrów warszawskich zamysła o sprzedaży swych mandatów, gdyż od listopada nie zwołano ani razu jej członków. Jako radca dramatu czy komedii zakładam na tem mniejscu mój protest.

Nie korzystam natomiast z mojego *liberum veto* przeciwko żadnej „niewypłacalności“ i „zachwianiu się“, bo na szczęście nikt z *solidnych* w ubiegłym tygodniu po ciehu nie runął. Zachwiał się wprawdzie jeden pensjonat żeński, którego przełożona wyjechała na trzy dni do Brześcia, ale wypadek ten dzienniki nasze wyzyskały z tą szczerością, której nigdy nie zaoferują „chwającemu się“ kupcowi lub bankierowi. Nie będę więc do kupy ich kamieni dorzucał nowego, zwłaszcza że owa przełożona nie upadła przez „differencję“ i nie powstanie przez „regulację“.

Na koniec mojej dzisiejszej pogadanki przyklepam smutną kartę pogrzebową: umarł ks. Franciszek Malinowski, sędziwy, ociemiały, trudami i niedostatkiem pogrzebiony badacz językowy. Jak gdyby zatrzymał resztkę życia do chwili, w której wyjdzie jego dzieło *Gramatyka Sanskrycka*, umarł ledwie obeschła farba drukarska na ostatnich arkuszach. Nie sądźmy tu owoców jego długoletniej działalności naukowej, czcimy tylko na świeżej mogile długą, wytrwałą, olbrzymią pracę, która pozostanie zawsze pięknym przykładem, chociażby nie osiągnęła zamierzonych celów. Malinowski był prawdziwym kapłanem — nauki, z jej nieśmiertelników należy mu się wieńiec, który ze szczerą łzą składamy na jego grobie.

Posel Prawdy.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 3 lutego.

Położenie polityczne w Europie względnie do poprzedniego tygodnia nie przedstawia żadnych nowych faktów, któreby można było nazwać znamionami sytuacyjnymi w całym znaczeniu tego wyraża-



Dzienniki też polityczne przetrwają w nowych przyprawach stare rzeczy, a że prztem nie obywa się także bez mniej lub więcej udatnych „kaczek“, jest rzeczą całkiem naturalną.

Sprawa grecka, będąca zawsze jeszcze głównym przedmiotem, pochłaniającym czynność dyplomatyczną wielkich mocarstw, postąpiła niby naprzód o tyle, że ostatni, dotychczas ociągający się z przyjęciem tureckiej propozycji nowych układów, gabinet angielski przychylił się nakoniec do tego wniosku bez ograniczających zastrzeżeń. Tak więc, jeśli jakieś na razie nieprzewidziane przeszkody nie zajdą, będzie Europa miała nowe widowisko konferencji dyplomatycznej w szczególnej formie. Nie będzie to bowiem konferencya w właściwym tego słowa znaczeniu, lecz rozczłonkowane na cząstki układy. Mianowicie, Porta otomańska traktować będzie z wszystkimi ambasadorami państw podpisanych na traktacie berlińskim równocześnie, lecz nie zbiorowo, tylko z każdym z osobna. Droga tych układów ma być wytknięta nowa granica ustępstw, do jakich Turcy na rzecz Grecji jest gotową, po czem mocarstwa zaofiarują natak pozyskanej podstawie pośrednictwo swoje w Atenach. Kiedy się te nowe układy rozpoczną, nie wyznaczono dotychczas napewno; zdaje się przecieć, że bezwzględnie to nie nastąpi, ponieważ dwóch, prawie że najpoważniejszych obecnie członków ciała dyplomatycznego w Konstantynopolu, t. j. pp. Hatzfeld (niemiecki) i Göschen angielski, mają dopiero odbyć podróż w tych dniach powrotną nad Bosfor z Berlina i Londynu, gdzie przebywają teraz.

Po za tem historia ubiegłego tygodnia zapisała tylko jeden fakt spełniony, mianowicie odrzucenie przez sejm pruski wniosku Windhorsta, domagającego się zmiany praw majowych o tyle, aby odprawianie mszy i wykonywanie sakramentów dozwolone zostało duchownym katolickim bezwzględnie. Kwestya zasadza się na tem, że obecnie w parafiach, które utraciły proboszczów, a nowych otrzymać nie mogą skutkiem opozycji przeciw ustawie państwowej, zastrzegającej dla nominacji zgodę rządową — że tedy w parafiach takich t. zw. „osieroconych“ niewolno jest księżom obcym czytać mszy, chrzcić, dawać ślubu i t. d. Wniosek zatem Windhorsta zmierzał do usunięcia tego przepisu, w celu zapewnienia mieszkańcom „osieroconych“ parafii posług religijnych. Przyznać trzeba, bezstronnie rzecz biorąc, że ustawa pruska jest w tym punkcie czysto żandarmską, ponieważ państwową racją stanu umotywać się nie da, a ludzi wierzących pozbawia niezależności sumienia i osobistej swobody w praktykowaniu obrzędów, które im są w przekonaniu wewnętrznym potrzebne. W zupełności też rozumiemy pobudki tych liberalnych członków sejmu, którzy głosowali za wnioskiem Windhorsta. Zawsze to przyzwolciej dla Izby, że wniosek ten zawdzięcza swój upadek bismarkowskiemu batalionowi junkrów prawicy i nacyonalnych liberałów.

Parlament angielski formalnie przebijając się musi w fizycznym niemal znaczeniu słowa przez „obstrukcyjną“ taktkę irlandczyków. Posiedzenia Izby gmin trwają blisko po całej dobie, wśród burzliwej dyskusji i skandalów, a dotychczas Izba nie dobiła się jeszcze nawet do pierwszego czytania bilu o represyjnych środkach przeciw irlandzkiemu ruchowi. Z wnioskiem reformy regulaminu rozpraw rząd dotychczas nie wystąpił, trudno więc przewidzieć, jak długo ta kampania potrwa. W Afryce południowej anglicy znowu ponieśli dość znaczną stosunkowo klęskę, stracili 230 zabitych i cofnąć się musieli przed nieprzyjacielem.

Francuska Izba deputowanych zajmuje się obecnie uchwaleniem nowej ustawy

prasowej. Szkic tego prawa skreślił po ostatecznym sformułowaniu go przez parlament.

S. S.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Inżynierowie miejscy wygotowali już plan regulacyjny miasta Warszawy. W planie tym ze strony Woli granice miasta mają być posunięte aż do planty kolei obwodowej.

— Obszerne pokłady galmanu odkrył na gruntach włościańskich we wsi Starczynowie p. J. Ciechanowski i wniósł do władzy włościańskiej podanie o pozwolenie na eksploataowanie galmanu i błyszczu ołowiu.

**Stowarzyszenia.** Towarzystwo czytelników ludowych w Poznaniu ogłosiło konkurs na napisanie popularnej *weterynaryi*. Nagroda za najlepszą pracę wynosi 20 marek. Dzieło wykladać ma w sposób zwięzły i naukowy choroby naszych zwierząt domowych i sposoby ich leczenia.

— Ze sprawozdania Towarzystwa Rybackiego w Krakowie dowiadujemy się, że instytucya ta rozwija się nieustannie. Ku końcowi 1879 r. liczyło ono 16 zorganizowanych oddziałów dla różnych rzek kraju i 626 członków. Prezesem Towarzystwa jest prof. Dr M. Nowicki.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, odbytem w d. 17 b. m. Wł. Jażdżewski odczytał dalszy ciąg sprawozdania swojego z rozpraw kongresu archeologicznego berlińskiego, tyjących się kwestyi: *Czy słowianie zamieszkiwali kraje między Elbą a Odrą dopiero od wieku szóstego po Chrystusie?*

— Tamże odbyło się walne zebranie miejscowego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na którym prezes Tow. p. St. Koźmian odczytał sprawozdanie z czynności zarządu za rok ubiegły.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się w d. 20 b. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem d-ra Teichmanna. Przedstawiono rękopis dzieła Wład. Taczanowskiego p. t. *Plaki krajowe*, oraz rozprawę Miecz. Łazarskiego: *O konstrukcji punktów przecięcia krzywych rzędu drugiego*. Następnie pr. Kuczyński wyłożył treść rozprawy d-ra Zygmunta Wróblewskiego: *O zastosowaniu fotometrii do studyowania kinematycznych procesów, zachodzących w cieczach*, poczem oddano do oceny pracę d-ra Pawła Brzezińskiego; *O trysekcyjnej kąta*. W końcu posiedzenia odbyły się wybory, przyczem dyrektorem wydziału na następne dwa lata obrano jednomyślnie prof. Teichmanna.

— Na ostatnim posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności Krakowskiej odczytał prof. d-r Bobrzyński pierwszą część obszernej rozprawy p. t. „Kwestya knieciów w Polsce pierwotnej“. W dalszym ciągu posiedzenia prof. d-r Lucyan Małinowski zawiadomił Wydział, iż w posiadaniu chwilowem prof. Krysińskiego w Warszawie znajduje się rękopis in 4-to papierowy, str. 94, z roku 1816 p. t. „Porządek prawa bartnego wedle starożytnego zwyczaju i dawnych ustaw potocznych spraw bartnych z pośrodku bartników uchwalony i wydany“. Autorem traktatu był Stanisław Skrodzki. Wydział postanowił prosić p. Krysińskiego, aby odpis traktatu tego przysłał Akademii celem ogłoszenia go w jej publikacjach.

— Wydział gospodarski III-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich oznaczył termin swego zebrania na drugą połowę lipca, w Krakowie.

— Ze sprawozdania Towarzystwa biblioteki polskiej w rumunii za rok 1880 dowiadujemy się, iż ono liczy obecnie 63 członków czynnych, a fundusz żelazny na szkółkę polską wynosił z końcem r. 1880 fr. 6011 c. 83.

— Literackie towarzystwo *Slavia* w Pradze Czeskiej wydało niedawno Almanach na korzyść zagrzebian p. t. *Slavia*. Zbiorowa ta publikacya zawiera artykuły 50 pisarzy i poetów czeskich.

**Muzyka.** Skrzypek *Tymoteusz Adamowski* bawi obecnie w Bostonie, gdzie koncerta jego wielkiem cieszą się powodzeniem.

**Teatr.** Znana już z amatorskich przedstawień jednoktówka Koziebrodzkiego *Stryj przyjechał* wytrzymała dość pomyślnie próbę ognia na deskach Teatru Rozmaitości. Głównym motywem akcji jest tu niespodziane przybycie groźnego opiekuna, które alarmuje

młodego malarza ciągnącego zasilek z jego szkatuły. Siostrzeniec ukrył przed stryjem, że jest artystą malarzem a potrzebując pieniędzy skłamał, że jest żonatym aby pobierać datki na urządzenie nowego gospodarstwa. W celu ukrycia tego podstępny uprasza znajomą sobie wdówkę, gospodynię domu, w którym mieszkał, aby udała jego żonę. Wysuwają się z tej sytuacji szereg zabawnych nieporozumień, nader zgrabnie prowadzonych, ale komedya kończy się w sposób banalny, małżeństwem stryja z wdówką skleconem na poczekaniu. Komedya zaczyna się zabawnie i dowcip ugarbirowany jej wieloma zgrabnymi konceptami i odrobina pieprznych żartów, ale końcowe sceny mocno naciągane psują wrażenie początku, który poparty pełną ruchliwością i werwą grą pp. Ostrowskiego, Szymanowskiego i Wolskiego, zapewniłby tej drobnotecie dłuższą egzystencję na scenie.

— *Paul Henryka Ładnowska*, artystka teatru lwowskiego, debiutowała kilkakrotnie z małym powodzeniem na scenie warszawskiej.

— Na scenie warszawskiej odbywają się próby z dramatu M. Bałuckiego *Rodzina Dylskich*.

**Nekrologia.** *Andrzej Rydzowski*, poseł galic. do Rady Państwa, twórca ustawy przeciw lichwie, zmarł w Wiedniu w d. 20 b. m., urodził się 7 listopada 1829 r. w Cieżkowicach nad Białą. Nauki początkowe pobierał w Nowym Sączu i w Tarnowie, na uniwersytecie zaś uczęszczał w Krakowie i we Lwowie. Czas jakiś był nauczycielem prywatnym, później urzędnikiem prokuratorji skarbowej, następnie zaś, jako docent uniwersytetu jagiellońskiego, wykładał przez lat pięć prawo narodów i filozofję prawa. Wybrany w r. 1855 do sejmu był odtąd stałym jego członkiem. Od r. 1870 zasiadał w wiedeńskiej Radzie Państwa. Wybitniejszemi przejawami działalności jego parlamentarnej była opracowana przezeń ustawa przeciw lichwie i ustawa hypoteki włościańskiej.

— *Kornel Krzeczunowicz*, poseł galicyjski do Rady Państwa, zmarł nagle we Lwowie w dniu 22 b. m. Urodził się tamże w 1818 r. Zajmował on w wiedeńskiej Radzie Państwa i sejmie galicyjskim nader wybitne stanowisko a prawym i nieposzlakowanym charakterem zjednał sobie szacunek nawet przeciwników politycznych. Całą niemal działalność swą poświęcił zmarły sprawie opodatkowania gruntowego, śmierć przecięła jednak nie jego życia przedtem, nim sprawa ta ostatecznie rozwiązana została. Kornel Krzeczunowicz był równie czynnym na polu literackim i wydał kilka prac ekonomicznych i prawnych.

— *Dr. Emanuel Borsický*, profesor uniwersytetu praskiego, uczony mineralog, urodzony w r. 1839 we wsi Milin pod Grzibramą, zmarł w Pradze 27 stycznia.

— *Herkules Dembowsky* astronom, zmarł w Albizate we Włoszech. Od lat 30-tu zajmował on się obserwowaniem gwiazd dr gorzędnych, a w r. 1878 otrzymał za prace w tym kierunku złoty medal od Towarzystwa astronomicznego w Londynie.

**Archeologia.** W wielkich Kamzach w okolicy Sztumu, w Poznańskim, znaleziono grobowisko słowiańskie i wydobyć zeń zioliłano kilka urn zagadkowych kształtów, jak również szyszak żelazny. Przedmioty złożone być mają w muzeum toruńskim.

**Nr. 2 PRAWDY, który przedrukowujemy ponownie, abonenci od io a przy N-rze 7.**

**W odpowiedzi na zazenienia donosimy, że PRAWDA wychodzi w sobotę w południe i prenumeratorem miejskim o.s. łaną jest tegoż dnia po południu i następnego.**

## OGŁOSZENIE.

— **Tom pierwszy encyklopedyi p. t. SŁOWNIK GEOGRAFICZNY** Królestwa Polskiego i innych krajów przyległych, zawierający opis miejscowości od Aa do *Dereneczna*, wyszedł z pod prasy i kosztuje dla prenumeratorków *Wędrowca* rs. sześć, w oprawie ozdobnej rs. siedm (tom ma 960 stronnic wielkiej 8-ki). Osoby, nieprenumerujące *Wędrowca* płać o rs. 1 kop. 80 więcej za tom. Za przesyłkę pocztą dopłaca się rs. 1 kop. 20. *Wędrowiec* kosztuje rs. 6 rocznie, z przesyłką rs. 7. Prenumerować można w każdej księgarni i w redakcyi (Nowy Świat Nr. 59).

6—3